POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień — *Dnia 23-go czerwca 1945r.* — **Rok VII. Nr. 25**

POTRZEBY W NIEMCZECH

Organizowanie obozów polskich, grupujących Polaków na terenach Niemiec, jest ukończone lub niezbyt dalekie od ukończenia. Obecnie trzeba znormalizować te obozy i pójść dalej — znaleść tym ludziom cel istnienia. Dach nad głową i łyżka strawy nie są wystarczającym rozwiązaniem.

Jeśli idzie o same obozy, trzeba przeprowadzić centralnie ich inspekcję celem usunięcia niedomagań istniejącego stanu rzeczy. Wydaje się, że Rząd powinien stworzyć w tym celu lotną komisję inspekcyjną. Komisja taka powinna zawierać:

Przedstawicieli misji polskiej w SHAEF'ie, jednego od spraw wojskowych, drugiego od spraw cywilnych; wychodząc z kwatery głównej SHAEF'u orientowaliby się w przepisach i zarządzeniach tyczących obozów, mogliby natychmiast autorytatywnie wyrównywać niedociągnięcia w poszczególnych obozach, powstałe wskutek ich niewykonywania lub mylnego rozumienia.

Winien by do niej wchodzić dalej specjalista od organizowania masowych obozów w Anglii, komendant najlepiej zorganizowanego "Oflagu" i komendant najlepszego obozu cywilnego. Mogliby oni ocenić pracę komendanta każdego obozu cywilnego, usunąć braki organizacyjne, dostarczyć odpowiednich sił pomocniczych ze swoich obozów, gdyby tego zachodziła konieczność. Wreszcie powinniby mieć prawo usunięcia nieodpowiednich oficerów łącznikowych i możność zastąpienia ich innymi.

Uzupełniać skład takiej komisji musiałby jeden znawca zagadnień społecznych i jeden spraw wychowania. Mieliby oni ustalić skład obozów, stwierdzić wykształcenie i zawody, potrzeby i możliwości społeczne i wychowawcze samych obozów i warunki zewnętrzne. Później mogliby spowodować przesunięcia dla uzupełnienia odpowiednich potrzeb. Pozwoliło by to również na ustalenie w jakiej mierze potrzeby społeczne i wychowawcze potrzebują pomocy z zewnątrz, tak pod względem materiałowym, jak i osobowym.

Wynikiem działalności tej komisji powinno być wyrównanie poziomu obozów, ustalenie norm ogólnych, zaspokojenie najpilniejszych potrzeb organizacyjnych jako wynik bezpośredni. Na dalszym zaś planie — ustalenie możliwości i rozwoju organizacji całości.

Jako obserwatorzy z tą komisją powinni pojechać — ekonomista i przedstawiciel finansów i prasy. Określę później w jakim celu.

Wspólne wszystkim obozom potrzeby, które muszą być zaspokojone łącznie, w oparciu o zdolniejsze jednostki i specjalistów, wybranych tak wśród Polaków na tym terenie, jak i z ludzi z zewnątrz t.j. z Anglii, są następujące:

Przede wszystkim czasopismo polskie. Istnieje konieczność dostarczania informacji, i to nie tylko bieżącej, lecz i przeglądu wstecz dla uzupełnienia wiadomości, których wszyscy byli pozbawieni przez tyle lat. Zdezorientowanej niewiedzą masie Polaków potrzebna jest informacja. Muszą oni wiedzieć nie tylko, co się stało i dzieje, ale i dlaczego tak jest. Prasa pozwoli na jak najszersze powiadomienie o obowiązkach i prawach Polaka na terenie Niemiec i wytłumaczy je. Dla odnalezienia rozproszonych rodzin stworzy najlepszą centralę, każdemu dostępną. Dostarczy wreszcie zajęcia i rozrywki.

Tę samą rolę, co pismo, winno spełnić Polskie Radio. Obecne dorywcze audycje polskie w rozmaitych programach są ułamkowe i mało dostępne, gdyż nikt o nich nie wie.

Audycje z Londynu, tak jak i prasa, nie wystarczają, nie uwzględniając wymienionych potrzeb. Należało by dążyć do stworzenia odpowiednich audycji w sieci radiowej aliantów działającej na terenie Niemiec przez niemieckie stacje, zarówno centralnie przez radiostację Luxemburg, jak i na poszczególnych odcinkach okupacyjnych, jak n.p. B.A.L., okupacje francuska czy amerykańska.

Należało by koniecznie dążyć do przyjęcia jednej stacji radiowej przez radio polskie celem zaspokojenia potrzeb nie tylko na terenie Niemiec, bezpośredniego związania wychodźctwa i emigracji poza krajem z Polakami w kraju.

Na terenie wielu obozów powstały już szkoły powszechne dla dzieci i młodzieży. Powinien je mieć każdy obóz. Komisja inspekcyjna winna doprowadzić do tego stanu.

Ale nie wyczerpuje to całego programu wychowawczego. Muszą powstać gimnazja, szkoły dokształcające i zawodowe, licea i kursy, czyli ośrodki nauczania. Szkół mogą i muszą dostarczyć Niemcy — potrzebne są tylko siły naukowe, których przeważną część znajdzie się w obozach oraz książki.

Wydaje się, że powstanie uniwersytetu i politechniki polskiej nie byłoby zbyt utrudnione, w oparciu o możliwości dostarczone przez rekwizycję odpowiednich uczelni niemieckich i przeorganizowanie uczelni i kursów, istniejących w "Oflagach".

Obok stałych ośrodków naukowych trzeba stworzyć wszelkiego rodzaju kursy okresowe, jeżdżące z obozu do obozu i udostępnić kursy korespondencyjne z Anglii.

Ekonomiczni i finansowi obserwatorzy w komisji inspekcyjnej mogliby stwierdzić możliwości i potrzeby gospodarcze. Każdy obóz mógłby zacząć zakładanie odpowiednich warsztatów rzemieślniczych, działających dla potrzeb obozów i wojsk okupacyjnych. Przez organizację dostawy narzędzi i surowca umożliwiłoby się pracownikom zdobycie własnych narzędzi pracy, czyli przynajmiej w pewnej mierze zapewnienie sobie przyszłości.

Mogliby oni również spowodować powstanie ośrodków fabrycznych, finansowanych przez aliantów a skupiających wyłącznie pracę polską — pozostawiając Niemcom odbudowę kraju. Takie skupienie pozwoliłoby na stworzenie pewnej polskiej społeczności, kształcenie młodzieży w polskiej atmosferze i szkolenie robotników, majstrów, techników i inżynierów. Co więcej taki warsztat pracy można by kiedyś przenieść do kraju.

Wielu ludzi będzie pragnęło pracować na roli. Trzeba by dążyć do uzyskania dużych warsztatów rolnych i zorganizować je jako kooperatywy, umożliwiając pracownikom gromadzenie inwentarza. Pozwoliłoby to znów na utrzymanie jednolitych gromad polskich. Możność uzyskania większych obszarów rolnych istnieje w rekwizycji olbrzymich majątków państwowych, partyjnych oraz dóbr zbrodniarzy wojennych, którzy zdobyli je łupiestwem w naszym kraju.

Ta zasada, o ile zostanie odpowiednio przeprowadzona, mogła by być zastosowana do fabryk, powstałych dzięki pracy niewolników z Polski. Dziś winny one stać się własnością społeczeństwa polskiego, które zbudowało je krwawszym, niż normalnie trudem.

Prawne przeprowadzenie tych planów zależne będzie od odpowiedniego postawienia tej sprawy na forum międzynarodowym. Wobec rozstrzygania spraw zbrodni w procesach karnych, powinna istnieć możliwość przeprowadzenia powództwa cywilnego dla każdego z poszkodowanych niewolników. Byłby to tylko zwrot trudu i wieloletniej pracy.

Jeszcze dwa działy organizacji międzyobozowej pozostają do omówienia. Jeden bezsprzecznie należy do kompetencji "Czerwonego Krzyża". Jest to dostarczenie lekarstw i lekarzy, stworzenie szpitali i sanatoriów dla ludzi, którzy od początku wojny nieraz byli pozbawieni opieki lekarskiej. Jeśli przysługiwała ona Polakom to po Niemcach. Wobec braku lekarzy praktycznie nie mieli żadnej opieki.

Istniał natomiast zakaz używania przez Polaków wielu najcenniejszych w medycynie środków. Stan zdrowotny przedstawia się na ogół bardzo źle, szczególnie wśród tych, którzy pracowali i żyli w większych skupieniach.

Czerwony Krzyż również rozdziela wszelkie dary. Dlatego przedstawiciel P.C.K. winien objechać obozy z komisją inspekcyjną. Dary nie powinny być rozdzielane równomiernie, ani tym z obozów, które potrafią się o nie starać, ale właśnie winny być skierowane do obozów dotychczas niestojących na odpowiednim poziomie, więc i nieodpowiednio zaopatrzonych.

Zanim zostanie uruchomiona normalna poczta, P.C.K. powinno zorganizować pocztę kursującą między obozami i do krajów przyjaznych, skąd i dokąd wolno pisać. Obok ogłoszeń w prasie i radio, będzie to czynnikiem, umożliwiającym odnalezienie rodzin, krewnych czy przyjaciół. Pomoże łatwiej znieść znane nam wszystkim uczucie samotności i opuszczenia. Czerwony Krzyż również winien pomyśleć o środkach transportowych dla umożliwienia podróży członkom rozproszonych rodzin pod wspólny dach.

Wreszcie centralna instytucja kulturalna musi dostarczyć objazdowych rozrywek, jak biblioteki, teatr, kino, koncerty i wszelkie imprezy kulturalno-rozrywkowe. Zadanie nie jest proste. Filmy naprzykład powinny mieć napisy polskie.

Brak książek powinien być pokryty stworzeniem w Niemczech wydawnictwa — papieru i drukarni tu nie brak. Powinny być drukowane książki bardzo tanie a konieczne: książki szkolne, podręczniki najbardziej popularne, literatura polska i powieści — i to na koszt Niemiec.

Potrzeby są wielkie, olbrzymie. Pełne ich zaspokojenie nie leży w naszej wyłącznej możliwości. Ale to nas nie zwalnia od najszerszej ofiarności. To tylko podwaja nakaz ofiarności. Każdy z nas jest do niej powolany w najwyższym stopniu.

JAN KURZAWA

rysował TADEUSZ K. SOWICKI



POMÓŻ POLAKOM W NIEMCZECH

PROCES I NARADY

Bieżący tydzień rozpoczął się pod znakiem dwu znamiennych wydarzeń. Jednym z nich jest toczący się w Moskwie proces przywódców Polski Podziemnej. Drugim również w Moskwie podjęte narady komisji ambasadorów, które mają doprowadzić do stworzenia rządu polskiego na zasadach przyjętych w Jałcie.

Jednoczesność tych dwu wydarzeń nie jest bynajmniej zbiegiem okoliczności i ma wielką wymowę symboliczną. Ludzie wyprowadzeni z więzienia na ławę oskarżonych w momencie, gdy ich rodacy zasiedli na sali obrad, na której ważyć się mają losy naszego kraju — ludzie ci posiadają pełny tytuł do reprezentowania Polski, wobec świata i żadne narady nad przyszłością państwa polskiego — jeśli mają coś znaczyć — nie mogą się odbyć bez ich udziału. Wśród tych bowiem oskarżonych o rzekomy sabotaż przeciw Czerwonej Armii znajdują się przedstawiciele wszystkich polskich partii politycznych, polskiego państwa podziemnego, które przez tyle lat tak skutecznie walczyło z Niemcami i polskiego rządu, który przedstawia jedyną legalną władzę Polski.

Jest więc rzeczą absolutnie pewną, że — pomijając niewątpliwie dobrą wolę i patriotyzm zaproszonych z Polski do Moskwy, niezależnych Polaków — mają oni nieskończenie mniejszy tytuł do reprezentowania Polski na konferencji, niż bezprawnie postawieni przed sądem sowieckim przywódcy polityczni ruchu podziemnego.

Dlaczegóż więc jednych zaprasza się na obrady, a drugich więzi i oskarża o sabotaż? Dlaczegóż dziś, gdy Europą rządzą zasłużone w walce z Niemcami ruchy podziemne, w Polsce przywódcy i żołnierze ruchu oporu narażeni są na prześladowania? Odpowiedź na tę pytania jest dość trudna. Należy jej się doszukiwać w tajnikach polityki, jaką Kreml stosuje i zamierza stosować wobec Polski. Być może śmiertelnym grzechem tej pierwszej delegacji polskiej na rozmowy w Moskwie był właśnie jej reprezentatywny charakter. Aresztowani przywódcy reprezentowali Państwo Polskie i jego życie polityczne. Byli odpowiedzialnymi kierownikami polskiej polityki, tworząc wspólnie pełną solidarną całość. Symbolizowali ciągłość i trwałość państwowości polskiej. Mając podstawy legalne, byli stroną, partnerem w każdych rokowaniach.

Taki stan rzeczy nie był wygodny dla tych, którzy chcą rozbić same

Przegląd tygodniowy

podstawy państwowości polskiej i włączyć ją w system polityczny powstający obecnie w Europie środkowo-wschodniej, rządzonej niepodzielnie przez Rosję. Dla tego też postanowiono złamać jednych przedstawicieli Polski i zastąpić ich innymi: ludźmi szanowanymi i znanymi w Polsce, ale podobieranymi z planową przypadkowością, niepowiązanymi wspólną nicią pracy podziemnej i niezaangażowanymi w życiu politycznym Kraju.

POTRZEBA PRZYBUDÓWEK

Obecne rokowania w Moskwie w sprawie przyszłości Polski nie są niczym innym, jak tylko powrotem do stanu rzeczy, który istniał przed trzema miesiącami, po spotkaniu w Jałcie. Tylko, że wówczas nie doszło do konsultacji, gdyż przeznaczeni do nich Polacy zostali uwięzieni.

Zgoda Rosji na wznowienie rokowań nastąpiła dość niespodziewanie. Nastąpiła w momencie, gdy zdawało się, że Sowiety zdecydowane są na utrzymanie istniejącego w Polsce stanu rzeczy. Cóż mogło wpłynąć na tę zmianę postępowania? Względy natury politycznej odegrały tu oczywiście poważną rolę. Rosja od jakiegoś czasu wykazuje pewną ustępliwość w swej polityce zagranicznej. Ograniczenie veta wielkich mocarstw i Triest należą do tego samego łańcucha ustępstw, co wznowienie konsultacji w Moskwie. Nie wiadomo co się kryje za tym zwrotem i jakie bezpośrednie cele polityczne on posiada. Bliskie spotkanie "Wielkiej Trójki" przyniesie, być może, pewne wyjaśnienie tej zagadki.

Ale poza celami polityki zagranicznej istnieją jeszcze jakieś inne przyczyny. Wydaje się, że leżą one w samej Polsce. Ci, którzy próbowali władać Polską przekonali się niejednokrotnie, iż naród polski nie tak łatwo ulega przemocy. Bierut z pewnością nie wywiązał się ze swoich zadań. Komitet lubelski nie potrafił zdobyć nawet najmniejszego cienia popularności. W kraju panuje kompletny zamęt, który na pewno nie jest na rękę Armii Czerwonej. Przemysł jest zupełnie zdezorganizowany i robotnicy nie chcą pracować w istniejących warunkach. Chłopi stawiają coraz silniejszy opór, sabotując wyraźnie tak zwaną reformę rolną, która w rzeczywistości po prostu stanowi nieudolną próbą sowietyzacji Polski. W tej sytuacji zachowanie przynajmniej pozorów legalności władzy wydaje się stwarzać nadzieje pozyskania pewnego chociażby odłamu społeczeństwa.

NIE W TEJ ATMOSFERZE . . .

Trzeba również pamiętać, że polityka rosyjska, zmierzając do jak najszybszego zalegalizowania sowieckiej organizacji Europy środkowowschodniej pragnie raz wreszcie skończyć z przedłużającymi się komplikacjami, jakie jej nastręcza Polska. Obecny stan rzeczy, w którym mocarstwa zachodnie, sprzeciwiając się sytuacji panującej w Polsce nadal uznają legalny rząd Polski — jest Rosji bardzo nie na rękę. Nie ułatwia również polityki Rosji wobec Zachodu fakt, że poza granicami Polski pozostają olbrzymie rzesze "narodu bez ojczyzny". Ujawnienie, że zaledwie jeden procent Polaków w Niemczech wyraził gotowość powrotu do Polski posiada niezwykłą wymowę i budzić musi na Zachodzie poważny niepokój.

Miejmy nadzieję, że nikt z obecnych w Moskwie Polaków — nie mówimy o członkach komitetu lubelskiego, bo im to nie grozi — nie chce podzielić losów bułgarskiego Dymitrowa, czy rumuńskiego Radescu, którzy po nieudanych próbach współpracy musieli się schronić pod opiekę ambasady amerykańskiej czy brytyjskiej. Nie wystarczy powiększyć komitet lubelski o tę czy inną osobistość polityczną. Nie wystarczy nawet stworzyć rząd prawie zupełnie nowy i do przyjęcia dla większości Polaków. Trzeba jeszcze zagwarantować temu rządowi możliwość przetrwania i działania, przywrócić wolność polityczną narodowi polskiemu i wolność obywatelską jednostce, zapewnić prawdziwie wolne wybory, skończyć z polityką przemocy i prześladowań.

Gdyby Rosjanie zdecydowali się na taki program, gdyby zamiast opierać się na szumowinach, poparli i obdarzyli zaufaniem ludzi, którzy naprawdę mają coś w Polsce do powiedzenia i cieszą się popularnością w społeczeństwie — wówczas napewno nie było by zapóźno na odbudowanie prawdziwej przyjaźni między oboma narodami. Gdyby . . .

Ale czyż taki plan, oparty oczywiście na przekonywających i dostatecznie silnych gwarancjach, może powstać w wyniku toczących się obecnie w Moskwie rozmów. W tym składzie . . . I w tej atmosferze . . .

SKŁÓCONY ZACHÓD

Próby gen. de Gaulle wciągnięcia Rosji do rozgrywki na Środkowym Wschodzie nie dały wyniku. Jego projekt załatwienia sprawy Syrii i Libanu na konferencji pięciu mocarstw został odrzucony. Wielka Brytania zaproponowała, jak wiadomo, rozstrzygnięcie sporu w czasie spotkania przedstawicieli obu państw anglosaskich i Francji.

W ten sposób konflikt syryjski pozostaje nadal daleki od rozwiązania. Wojska brytyjskie przejęły posiadłości francuskie w Syrii. Pozostaną tam do czasu zawarcia umowy między Syrią i Francją. Ten stan rzeczy cieszy się poparciem Syryjczyków, którzy wszędzie witali radośnie żołnierzy brytyjskich. Ale we Francji wzrastają nastroje antybrytyjskie. Oskarżenie Wielkiej Brytanii o sprowokowanie konfliktu za pośrednictwem agentów — napewno nie przyczyniło się do zahamowania wzrostu tych nastrojów. Gen. de Gaulle prowadzi niebezpieczną grę między Wschodem i Zachodem. Jak dotąd nie wydaje się, by przyniosła ona Francji jakieś widoczne korzyści.

W obecnej sytuacji nieporozumienia między tymi dwoma narodami są zjawiskiem naprawdę niepokojącym. Trudno sobie wyobrazić przyszłość Europy bez zgodnej i harmonijnej współpracy Francji i Wielkiej Brytanii. Na szczęście po obu stronach Kanału słychać liczne głosy nawoływania do zgody. Ostatnio wystąpienia p. Herriot obudziły nadzieję wywołania We Francji bardziej pojednawczych nastrojów.

ZASTĘPCA

Z tygodnia na tydzień

11 czerwca: Ogłoszono o wylądowaniu wojsk australijskich na płn. zach. wybrzeżu brytyjskiego Borneo.

12 czerwca: Waszyngton, Londyn i Moskwa ogłosiły, że Komisja ustanowiona na mocy postanowień jałtańskich, złożona z sowieckiego min. spr. zagr. Mołotowa, ambasadorów brytyjskiego i amerykańskiego zaprosiła do Moskwy, celem przedyskutowania możliwości utworzenia nowego rządu polskiego, pięciu Polaków z Kraju, trzech z W. Brytanii i czterech przedstawicieli administracji lubelskiej.

—Premier rządu włoskiego Bonomi podał się do dymisji.

13 czerwca: Prezydent Truman ogłosił o ustaleniu miejsca i daty spotkania z Premierem Churchillem i marszałkiem Stalinem.

—Ogłoszono, że straty marynarki handlowej Sprzymierzonych wyniosły 4.280 statków.

14 czerwca: P.A.T. ogłosił tekst listów sowieckiego pułk. Pimienowa do Delegata Rządu na Kraj Jankowskiego i do ostatniego Dowódcy Armii Krajowej gen. bryg. Okulickiego, w których pułk. Pimienow zaprasza ich na rozmowy z władzami sowieckimi i gwarantuje bezpieczeństwo osobiste.

—Radio moskiewskie ogłosiło, że wymienieni oraz 16 innych przedstawicieli społeczeństwa polskiego stanie w najbliższych dniach przed najwyższym trybunałem sowieckim.

—Rząd Brytyjski ogłosił Białą Księgę dotyczącą zmian w ustroju Indii.

15 czerwca: Rząd Polski wydał oświadczenie w związku ze wznowieniem prac Komisji Moskiewskiej dla spraw polskich, w którym stwierdzą m.in., że: "Wszelka akcja wielkich demokracji zachodnich mająca na celu normalizację stosunków w Polsce winna być poprzedzona przez:

a/ natychmiastowe wycofanie wojsk sowieckich i policji politycznej z Polski;

b/ zwolnienie wszystkich aresztowanych i deportowanych od r. 1939 obywateli polskich;

c/ zaprzestanie usiłowań narzucenia Polsce obcego Jej ustroju" . . .

16 czerwca: W związku z decyzją Króla Leopolda powrotu do Belgii, premier belgijski złożył dymisję na ręce regenta Karola.

Nowości lotnicze

W Wyższej Szkole Wojennej w Warszawie, jeszcze za czasów jej prawdziwego rozkwitu pod kierownictwem artysty i poety sztuki wojskowej, jakim był pułkownik Faury, taktykę lotnictwa wykładał także Francuz, kapitan-lotnik z wojny światowej. Jak wszyscy ówcześni wykładowcy był entuzjastą swego przedmiotu. To też, gdy na jednym ze swych wykładów, poświęconych rozwojowi lotnictwa stwierdził kategorycznie, że myśliwiec przyszłości będzie rozwijał szybkości przekraczające 500 kilometrów na godzinę, większość słuchaczy przyjęła jego wywody raczej powątpiewająco. Widząc niedowierzanie na twarzach oficerów, kapitan /nazwiska już dziś nie pamiętam/ przerwał wykład i zwrócił się do nich z taką uwagą.

—"Panowie mi nie wierzą i uważają, że zamiast trzymać się tematu, odbiegam w marzenia i poezję. Wnioskuję z tego, że panowie czytają zbyt mało powieści fantastycznych. Dobry strateg i taktyk powinien mniej czytać Clausewitza, natomiast więcej Wells'a, mniej Cezara, natomiast więcej Verne'go. Powinien umieć wierzyć w każdą nierzeczywistość i rozwijać w ten sposób swą fantazję. W szkoleniu fantazji wojskowej najlepiej pomagają bajki dla dzieci. Opowieści arabskie z tysiąca i jednej nocy więcej przyczyniły się do rozwoju nowoczesnej techniki wojennej, niż wszyscy uznani filozofowie wojny razem wziąwszy. Prowadzenie wojny, to sztuka urzeczywistniania bajek, proszę panów . . ."

Należy oddać należny hołd fantazji i darowi prorokowania owego wykładowcy. Jego słowa spełniły się niebawem, mimo iż wówczas, kiedy je wypowiadał, wydawały się nieprawdopodobne. Dziś szybkość 500 kl /godz. (około 320 mil/ godz.) jest średnią szybkością raczej przestarzałych typów.

Onegdaj komunikat *Air Ministry* odsłonił tajniki nowych typów myśliwskich i bombowych, tych mianowicie, które dopiero miały wejść do walki w ciągu następnego roku. Typy te z małymi wyjątkami poruszają się z szybkością 500 mil na godzinę, czyli 840 klm/godz. Dla pojęcia co to oznacza, należy sobie uprzytomnić, iż 840 klm/godz to 14 klm/minutę, to 240 metrów na sekundę, inaczej 1 kilometr w cztery sekundy.

Te nowe samoloty to — "Vampir" produkcji de Havillanda, a więc z tej samej "stajni" co "Mosquito", dalej "Spiteful", projektowany i zbudowany przez warsztaty Vickers-Armstrong, "Hornet" — również de Havillanda oraz duży bombowiec, bliski kuzyn bombowca "Lancaster" z Avro Lincoln. Większość z nich to samoloty propulsyjne, a więc opatrzone silnikami termiczno-strumieniowymi. Rozwój tych silników postępuje gwałtownie naprzód i wydaje się coraz bardziej prawdopodobne, że niebawem te silniki dzięki urządzeniom pozwalającym im na mniejsze zużycie paliwa, utorują sobie drogę do lotnictwa komunikacyjnego.

— — — —

Ogłoszono publicznie pewną ilość cyfr dotyczących wojennych działań lotniczych przeciw Niemcom. Są one nadzwyczajnie ciekawe i dają nowy obraz całości.

Ogółem w ciągu wojny europejskiej samoloty *Bomber Command* /Dowództwa Lotnictwa Bombardującego/ wykonały 391,137 lotów bojowych, w ciągu tych lotów zdołały zrzucić 955,040 ton bomb, z czego 196,355 przypadło na bomby zapalające. Ponadto samoloty te zdołały położyć 47,250 min. Od tych min zatonęło przeszło 1000 okrętów, a przeszło 40% personelu pływającego marynarki niemieckiej było zajęte wyławianiem min.

Bombardowania nocne przemysłu niemieckiego początkowo nastręczały duże trudności. Nawigacja nie stała jeszcze na poziomie, i trafić do celu po ciemku mogły jedynie bardzo dobrze wytrenowane i doświadczone załogi. Tymczasem planowano już naloty po 1000 maszyn i więcej. Nie można było wymagać od tysiąca załóg, by wszystkie składały się z asów. Dopiero gdy nauka przyszła z pomocą i uczeni brytyjscy opracowali praktyczne metody pomocy nawigacyjnych, z których każdy przeciętny nawigator mógł korzystać, trafić do celu i wrócić, można było zacząć działanie przeciw przemysłowi niemieckiemu. Lecz stało się to dopiero z wiosną 1942 roku. Pierwszy wielki nalot masowy /800 samolotów/ przeżyła Lubeka, drugi już 1000 bombowców — Kolonia.

Dalsza praktyka w tym kierunku przyczyniła się nie tylko do zadawania coraz dotkliwszych strat nieprzyjacielowi, lecz również — dzięki odpowiedniej taktyce — do zmiejszenia strat R.A.F. Tabelka strat wygląda tak:

1941	straty samolotów	2,5%
1942	" "	4,0%
1943	" "	3,7%
1944	" "	2,2%
1945	" "	1,1%

Należy zwrócić uwagę, że równocześnie rosła liczba zaangażowanych samolotów oraz tonaż bomb. I tak, gdy w początkowym okresie nalotów masowych obliczano koncentrację na 800 samolotów nad celem na godzinę, w końcowym 1800 bombowców zrzucało swój ładunek na oznaczony cel — w ciągu 20 minut.

Nowa taktyka ataku zmusiła przeciwnika do reformy taktyki obrony. Niemcy bronili początkowo około 60 wybranych miast ogniem przeciwlotniczym oraz reflektorami, reszta była bez obrony. W miarę strat zostali zmuszeni z wielką dla siebie szkodą wprowadzić do akcji myśliwce nocne, przyczem stało się to kosztem zredukowania stanów lotnictwa bombowego, oraz myśliwskiego i to w chwili, kiedy zarysowały się poważne braki w niemieckiej pierwszej linii.

Zagadnienie obrony stało się jednak dla Niemiec z dnia na dzień coraz bardziej skomplikowane, myśliwcy nocni bez specjalnych urządzeń radiowych, przede wszystkim telewizji, nie wiele mogli zdziałać. Skuteczna obrona bez radiolokacji, której z początku wojny Niemcy nie posiadali, była utrudniona. Od 1941 roku, Niemcy zaczęli rozbudowywać system kontroli radiowej dla działań myśliwców nocnych na olbrzymiej przestrzeni od Danii po granicę szwajcarską. Równolegle do tego systemu stworzono drugi: szeroką linię reflektorów współdziałających z obroną z powietrza.

I ten system nie okazał się praktyczny i wystarczający. Wobec tego Niemcy zmienili taktykę, zaskakując Brytyjczyków przez skoncentrowanie swych myśliwców na drogach przepływu strumienia bombowców, szczególnie w punktach, gdzie bombowce czuły się bezpieczne, a więc w pobliżu brzegów Anglii. Zmiana taktyki kosztowała RAF 96 bombowców z 800, które miały atakować Norymbergę 30 marca 1944 roku. Jednak niebawem znaleziono przeciwśrodki, które pozwoliły nie tylko ograniczyć straty, lecz nawet obniżyć je w skali ogólnej, jak to widzimy z przytoczonej tabelki statystycznej.

"*Pathfinders*", samoloty, które znakowały cel, były użyte już w 1942 roku, lecz w nowoczesnym tego słowa znaczeniu, zostały zastosowane dopiero po raz pierwszy w 1943 roku, podczas ataku na warsztaty doświadczalne bomb latających w Pianoujściu /Puenemunde/.

M. J. GORDON

Wyzywające bezprawie

Prasa codzienna doniosła, że w Moskwie rozpoczął się proces sądowy przeciw piętnastu obywatelom Rzeczypospolitej, przywódcom Państwa Podziemnego, organizatorom i kierownikom pięcioletniej walki, prowadzonej przeciw niemieckiemu okupantowi przez cały naród polski.

Wiadomość ta, sama w sobie jest potworna, urąga zdrowemu rozsądkowi, obraża elementarne poczucie sprawiedliwości. Tę jej wymowę jako aktu bezprawia podwyższa, wyjaskrawia, wypotwornia jeszcze okoliczność, że w tym samym mieście, w tej samej chwili odbywają się narady, mające zadecydować o przyszłości naszego kraju, o przyszłości współżycia dwu sąsiadujących narodów.

Żołnierzowi, który myśli prosto, który działa prosto, możliwość połączenia, reżyserowania sądu i narady, gwałtu i ugody — nie mieści się w głowie. Nie mieści się ona w jego sercu, w jego poczuciu etycznym. Uderza ona w podstawy jego wiary w moralną i umysłową równowagę tego świata, do którego dobrnął przez morze krwi, przez ogrom wyrzeczeń, cierpień i ofiar swego narodu i innych narodów sprzymierzonych przeciw złu.

Żołnierz polski, który dzielił z żołnierzem brytyjskim i amerykańskim, z narodem brytyjskim i amerykańskim złe i dobre, klęski i zwycięstwa — miał chyba prawo oczekiwać, że to mu będzie oszczędzone. Pamięta, że przedstawiciele Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych zerwali wszelkie rozmowy i rokowania w sprawie Polski na wieść o aresztowaniu piętnastu przywódców. Ci sami przedstawiciele uznali za możliwe wznowić złej pamięci uchwały jałtańskie po miesiącach ich sabotowania przez trzeciego współpartnera — mimo, że najlepsi ludzie naszego kraju, że towarzysze ich wspólnej walki nie zostali zwolnieni, ale postawieni przed sąd, który nie ma prawa ich sądzić.

Opinia świata zapomniała już jaki to kręty szlak podstępu, oszustwa, łamania słowa, przemilczenia zaprowadził tych piętnastu z podziemi, w których nie wytropił ich zaciekły wróg niemiecki przed sąd "sprzymierzeńca naszych sprzymierzeńców". Zapomniano, że to rządy W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych podały do wiadomości rządu Związku Sowieckiego nazwiska dzisiejszych podsądnych w procesie moskiewskim. Zapomniano również, że w opinii i przekonaniu Aliantów zachodnich właśnie ci ludzie mieli reprezentować wolę Kraju, wolę niezachwianą, niezłamaną w ciągu pięciu lat walki z okupantem niemieckim. Zamiast na salę obrad trafili na salę sądową. Zamiast kierownictwa krajem wyzwolonym z pod niemieckiego ucisku, odpowiadają oni przed obcym trybunałem za walkę z tym uciskiem.

My żołnierze polscy na obczyźnie, wszyscy Polacy, którzy mogą w tej chwili myśleć i czuć, jak wolni ludzie, swobodnie wyrażać swoją myśl — przypominamy te fakty wolnym ludziom innych krajów, przypominamy je żołnierzom alianckim, z którymi walczyliśmy wspólnie na lądzie, na morzu i w powietrzu. Chcemy, aby zważyli w sumieniu tę potworność, to niebywałe bezprawie, którego ofiarą jest naród polski i najlepsi jego obywatele. Pragniemy, aby wiedzieli, że winą oskarżonych jest ich walka z Niemcami, jest solidarność w tej walce z nami i prawowitym Rządem, który przewodził nam i Krajowi w ciągu całej wojny.

W umyśle reżyserów procesu moskiewskiego całe to urągające widowisko ma jakiś im wiadomy sens. W ich pojmowaniu świata mieści się taka możliwość. Czemuś służy i coś dla nich znaczy. Kogoś ma zastraszyć, komuś rzuca wyzwanie, kogoś chce poniżyć i upokorzyć.

Przechodzimy mimo tego i ponad tym. Ten zawiły szyfr postępowania jest dla nas nieczytelny, nie mieści się w naszym świecie pojęć. Rozumiemy tylko jedno wyzwanie i podejmujemy — próbę zohydzenia Polski Podziemnej, jej walki, jej dokonań, jej czystości.

Nie damy sobie odebrać tej legendy. Nie damy pomniejszyć, tej wielkości. Nie damy zbrudzić, zszargać tego dobra.

Stoimy solidarnie po stronie Polaków, sądzonych wbrew prawu i wbrew słuszności. Stoimy po ich stronie nie tylko dlatego, że są to Polacy i żołnierze Polski Podziemnej, najwierniejsi żołnierze Sprawy Sprzymierzonej. Stoimy po ich stronie, bo po tej stronie jest Prawda i Sprawiedliwość.

ALEKSANDER JANOWSKI

Apel w Oświęcimiu

III.*

Przy końcu bloku, gdzieś z tyłu, słychać było Schredera. Uderzył kogoś. Potym przebiegł szybko wzdłuż szeregów, z mocno zaciśniętymi szczękami, z pejczem w ręku. W poprzek twarzy miał siną pręgę od uderzenia Hansa Kreutzmanna. Wyminął zwłoki doktora i na nikogo nie patrząc, zatrzymał się aż na przeciwnym końcu bloku.

Od strony placu nadchodził właśnie Kreutzmann. Szedł, lekko stawiając stopy, jak gdyby miał pod sobą nagrzane morskie wybrzeże. Schreder natychmiast zawrócił. Nagle przystanął przy Wachowiaku i spytał go o coś po niemiecku. Tamten nie rozumiejąc, milczał. Wtedy Schreder, nie patrząc na niego, uderzył go w twarz. Wachowiak nie drgnął nawet. Twarz spochmurniała mu jeszcze bardziej, a oczy utkwione w *Capa* stwardniały. Schreder nie zdążył odejść, gdy podszedł Kreutzmann.

—Co on zrobił? — spytał, wskazując pejczem na Wachowiaka.

Przez moment Schreder zawahał się. Stał na skraju wydłużonych cieni topoli i nieruchomością swojej postaci podkreślał jeszcze złudzenie, że ziemia porusza mu się pod stopami.

Staś Karbowski z niezmiennym uporem śledził ruch tych cieni. Nagle usłyszał głos Schredera. *Capo* wyjaśnił, że uderzył Wachowiaka za buntownicze spojrzenie.

Zaległa cisza. Teraz, gdy zabrakło doktora, zastępował go sędzia Makowski, swoim ciężkim, urywanym oddechem człowieka, który z trudem chwyta powietrze. Staś znowu czuł ten oddech prawie na plecach. Ale śmierć straciła dla niego nagle grozę. Nie obejmował jej. Była już, jakby poza wszystkim, była spokojem i niewiedzą. Umieranie — to było straszne. I po raz nie wiadomo który, jak cień przesunął się mu przed oczyma Wacek Zawadzki, wybijający okrwawioną ręką takt na bębenku.

Wtem rozległ się głos Kreutzmanna.

—Spytaj go, czy jest zadowolony, że został ukarany?

Capo obróciwszy się ku Wachowiakowi, powtórzył pytanie po polsku ostro i rozkazująco, jednocześnie jego oczy, niebieskie i śmiałe oczy północnego Niemca, błagalnie zdawały się chłopcu wskazywać odpowiedź. Tamten chwilę namyślał się. Wreszcie podniósł na Schredera chmurne, twarde spojrzenie i powiedział:

—Nie.

Kreutzmann przysunął się bliżej.

—*Nein*?

I ogarnął Wachowiaka swoimi pięknymi oczami, które naraz stały się czujne i przenikliwe.

—*Nein*? — powtórzył.

—Nie — odpowiedział Wachowiak.

Kreutzmann nie wyglądał na zdziwionego, ani zagniewanego. Uśmiechnął się. Wzrok jego ześlizgnął się z Wachowiaka i z pewnym roztargnieniem począł przesuwać się po stojących w szeregach. Na chwilę wszyscy zapomnieli o zmęczeniu, o swoich bólach, o przenikliwym zimnie. Stali odrętwieni, jak gdyby zahypnotyzowani, nie śmiejąc oddychać. Wzrok młodego *Block-führera* długo i powoli błądził od twarzy do twarzy i przez moment każdy z więźniów był pewien, że na nim zatrzyma się to spojrzenie, kryjące niewiadomy rozkaz. Wysoko w ciemnościach huczał wiatr. Mroźna mgła siekła twarze.

Wreszcie spojrzenie Kreutzmanna oparło się na Karbowskim. Koniec — pomyślał Staś. I uczuł, że odruchowo poczyna się trząść od wewnątrz. Zacisnął zęby. Gdy Kreutzmann skinął na niego, wystąpił posłusznie z szeregu.

—Bliżej — powiedział spokojnie SS.

Staś znalazł się tuż przy Kreutzmannie. Ten skinął z kolei na Wachowiaka. Potem, gdy obu więźniów miał przed sobą, zwrócił się do Schredera.

—Powiedz temu — wskazał na Wachowiaka — że jeżeli nie lubi być bity, to pewnie woli bić. Niech bije tego drugiego.

Schreder powtórzył. Był blady, lecz spokojny. Wachowiak usłyszawszy rozkaz, którego się nie spodziewał, drgnął. Spojrzenie jego chmurnych, posępnych oczu zamąciło się naraz. Milczał.

—Bij — powiedział ochryple *Capo*.

Wachowiak przez ramię spojrzał na stojącego obok Stasia. Znali się tylko z apelu, nigdy słowa ze sobą nie zamienili. Bij — mówiło spojrzenie Stasia. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

—Prędzej — odezwał się Kreutzmann.

Wachowiak odwrócił się ku niemu. Wzrok jego znowu był chmurny, zacięty i twardy.

—Nie — powiedział głuchym głosem.

—*Nein*?

—Nie — powtórzył Wachowiak.

Wtedy Kreutzmann nie śpiesząc się, sięgnął po rewolwer i nie podnosząc dłoni, nie mierząc, strzelił dwukrotnie. Wachowiak zachwiał się i obu rękoma chwycił za brzuch.

Ale nie upadł. Twarz miał zaciętą, szarą. Z natężeniem w oczach, przez które zdawały się ściekać wszystkie siły zamierającego życia, wpatrywał się w pięknego Kreutzmanna. Ten przez dłuższą chwilę wytrzymał spojrzenie. Potem strzelił jeszcze raz. Wachowiak drgnął. Upadł.

Szmer ulgi przeszedł przez szeregi. To ludzie głębiej odetchnęli. Ale natychmiast zamarli. Kreutzmann szukał nowej twarzy. Tym razem wybór jego padł na Trojanowskiego.

—Bij go — zwrócił się do Karbowskiego, gdy tamten wystąpił z szeregu.

Staś uczuł, jak wszystko w nim zamiera, ścięte strachem. Podniósł machinalnie rękę. Uderzył. Zdrętwiałymi z zimna palcami rozpoznał, że ześlizgnął się nimi po szyi tamtego. Kreutzmann ściągnął swoje ciemne brwi.

—Mocniej — powiedział.

Uderzył mocniej. Trojanowski stał przed nim bez ruchu, trochę pochylony, opuszczone powieki skrywały jego spojrzenie. Chce, żeby mi było łatwiej bić — pomyślał Staś. Jeszcze raz uderzył. Nagle Kreutzmann chwycił go za drelich i przyciągnął do siebie.

—Mocniej — powtórzył ze spokojnym naciskiem.

Staś odruchowo skurczył się w sobie.

—Będziesz bić, jak należy?

—Będę — szepnął.

Kreutzmann puścił go i pchnął ku Trojanowskiemu. Wtedy na oślep począł bić zaciśniętymi pięściami. Trafił w głowę, w twarz, w piersi. Po chwili przestał się orientować, gdzie uderzał. Czuł tylko, że bije z coraz większą siłą, z wzrastającą zaciekłością i coraz boleśniejsze zadając ciosy. Trojanowski począł broczyć krwią. Lecz jego powieki nadal pozostały wpół przymknięte. Oddychał tylko nieco głośniej, ciężej. Raz stłumiony jęk wyrwał mu się z poza zaciśniętych ust.

—*Halt* — krzyknął wreszcie Kreutzmann.

Staś opuścił ręce. Dłonie miał rozgrzane, piekące, gorąco paliło mu końce palców. Poczuł, że prawą dłoń ma zwilgotniałą czymś lepkim. Krew — pomyślał obojętnie. Skurczył machinalnie dłoń i począł palcami krew rozcierać. Nie bardzo zdawał sobie sprawę, co się z nim dzieje. Ból przeżerający mu głowę prawie go oślepiał. I gdy Kreutzmann kazał mu wrócić do szeregu, ledwie trafił na swoje miejsce. Było duże, obok brakowało Wachowiaka. Trojanowski stał już na swoim.

Staś stał zdrętwiały. Końce palców piekły go coraz silniej, czuł, że zapada się w siebie, w głuchy ból, jak w ciemny gąszcz snu. W rozżarzonym do białości powietrzu słyszał chrapliwy głos Nadolnego, przed szeregiem przebiegali SS-i, ich sylwetki ogromniały, gdzieś daleko na drugim końcu placu był bity człowiek i bliżej także ktoś krzyczał i znów dalej i jeszcze w innej stronie, potem nagle cisza zaległa, straszna, samotna, z tyłu dyszał sędzia Makowski, cienie kołysały się na ziemi, noc była nad tym wszystkim, wiatr gdzieś w górze, jak gdyby ponad placem, miarowo i przejmująco stuka pałeczka w bębenek, płynie rzeka, czerwona piłka toczy się po żółtej ścieżce ogrodu, noc, człowiek krzyczy, wirują kręgi płomieni, kręte schody czernieją wśród nich jak wyschły szkielet, trzeba po nich wejść, w dole ogromna szmaragdowa łąka, niewidzialne uderzenia bębenka wystukują swój rytm . . . Mijały godziny.

Wolność — myślał Trojanowski — moja wolność. Czy byłbym w stanie ocalić ją, gdyby to na mnie przyszła próba? Czuł, że fałszem zabrzmiałoby: tak, którym jeszcze niedawno gotów był zaświadczyć. Można swojej godności bronić, lecz bez pewności, czy wytrwa się w niej do końca. Myśleć o sobie, a być sobą — ileż złudzeń i kłamstw pomiędzy jednym i drugim. Lecz sens tego wszystkiego?

Wyprostował się tym niepokojem i trzeźwiał, bo chwilami tak straszliwe ogarniało go znużenie, iż zdawało mu się, że nie utrzyma się na nogach dłużej, niż parę minut. Bał się tego. Nieokreślony strach osadzał się w nim na myśl, że w pewnej chwili zmęczenie powali go na ziemię, że zbiegną się SS-i. Słyszał, że gdzieś z tyłu ludzie padali. Trzem czy czterem zdarzyło się to do tej pory. Jeszcze mu pulsował w uszach krzyk jednego z nich, bitego przez SS-ów, przeciągły zwierzęcy skowyt.

—Boże . . . — szepnął z tyłu "sztubowy" Pawłowski.

Tak beznadziejne udręczenie drgnęło w tym bezgłośnym nieomal szepcie, że Trojanowski zadrżał. Sens, sens tego wszystkiego — począł powtarzać uporczywie — sens tych cierpień, sens ich zadawania?

Naraz niewiadomo skąd wyniknęło w nim wspomnienie pewnej partii chóralnej z Pasji św. Mateusza, czysta i prosta melodia otwierająca niebo, aż wreszcie w miarę powolnego nasilania żarliwości sama stająca się niebem. Słuchał z napięciem tego śpiewu w sobie. Nie potrafiłby go zanucić, chociaż wznosił się w nim pewnie i nieskazitelnie. Ale to było niepotrzebne. Wystarczał mu ten zarys bezgłośny, jasnymi kadencjami prosto wznoszący się ku górze.

I jak gdyby z samego serca tego chóru, prowadzonego czystymi głosami kobiecymi, wstało w nim ogromne i usilne pragnienie, aby każde cierpienie, każdy ból, każdy strzęp udręczonych myśli tych ludzi, kilku tysiącami zapełniających plac pod nocą, ocalały od zniszczenia i zagłady i chociaż innym ludziom niewiadome, a przez samych poniżonych zapomniane być może w przyszłości, trwały jednak wiecznie, wymowniejsze od chwili swego istnienia, głoszące świadectwo samego życia i spełniających się losów człowieka.

Może to jest sens? — myślał. — Może musi istnieć Hans Kreutzmann, aby "sztubowy" Pawłowski cierpiał ponad miarę swoich mizernych sił, a młody chłopiec, który leży tu przede mną, mógł w swojej ostatniej chwili powiedzieć: nie? Może to jest cena zapłaty, ta niedająca się wymierzyć ani zgłębić więź niewidzialna pomiędzy poniżeniem i pogardą, pomiędzy jednym człowiekiem a drugim? Nie wiedział, czy tak jest. Pragnął tylko, aby tak było. Śpiew w nim opadał i zacichał, pozostawiając po sobie pustkę, która nie była spokojem.

Mijał czas. W ludziach skostniałych z zimna, półprzytomnych ze zmęczenia zacierała się powoli świadomość minut i godzin. Cały ten apel, już bez pamięci i bez nadziei końca, zdawał się stawać naraz i trwać jednocześnie zastygły pośrodku nocy.

—Boże — szepnął znowu Pawłowski i załkał po swojemu, w sobie wstrzymywanym ze strachu oddechem. Sędzia Makowski oddychał coraz ciężej, dyszał urywanie i chrapliwie. Gdzieś dalej, z tyłu, rozległ się czyjś kaszel, suchy i ostry, podobny do szczekania.

—Milczeć — wrzasnął w tamtej stronie Nadolny.

Ale szczekanie dalej jątrzyło się w ciszy. Nagle przeszło w krzyk. To Nadolny bił.

—Nie wytrzymam — wybełkotał "sztubowy". — O Boże.

Stojący obok Smoła szepnął coś swoim niskim, twardym głosem i tamten przycichł. Smoła był mężczyzną po czterdziestce i jednym z przywódców ruchu ludowego. Pracował w kuchni przy obieraniu kartofli, więc mimo ośmiu miesięcy, jakie spędził w Oświęcimiu, trzymał się jeszcze dobrze. Był wysoki, kościsty, jego twarz o zaostrzonym, drapieżnym nosie przypominała krogulca. Od paru dni dokuczało mu lekkie przeziębienie. Nie przywiązywał do niego dotychczas większej wagi, prawie wszyscy w obozie byli mniej lub więcej przeziębieni. Lecz teraz z godziny na godzinę czuł coraz wyraźniej, jak rozwija się w nim choroba. Ostre aż do utraty tchu bóle przeszywały mu piersi, dreszcze wstrząsały jego plecami, czuł równocześnie gorączkę i chłód.

Starał się o tym nie myśleć. Całą swoją siłę człowieka przyzwyczajonego od dzieciństwa do pokonywania trudności i do walki wkładał w wolę przetrwania. Skupiał w sobie i umacniał tę jedną tylko myśl, aby przetrwać. Wiedział, że dopóki go ta pewność nie opuści, nic mu się nie stanie. A bardziej, niż kiedykolwiek potrzebował wiary w siebie. Czuł, że przychodzi mu stoczyć walkę najcięższą ze wszystkich, jakie w życiu podejmował. Dotąd walczył ze zdarzeniami, z ludźmi, ze światem. Teraz wróg skrył się w nim samym. Przetrwam — myślał — muszę przetrwać. Chociaż był zdrętwiały z zimna, gorączka wżerała się w niego coraz gęstszym gorącem i z jej wnętrza, z pomiędzy ukłuć coraz częstszych i ostrzejszych Smoła wyraźnie wychwytywał nikły dreszcz zwątpienia.

Sprężył się w sobie, zacisnął pięści i w tym napięciu cielesnym szukał ratunku przed zdradzieckim podszeptem. Nie bronił się przed śmiercią, bronił się przed myślą o niej. Tak mocno był zrośnięty z życiem, przywiązany do swoich walk, swoich zamierzeń, swoich ambicyj, iż wśród tych potężnych namiętności nie znajdował nigdy rysy, jaką jest strach przed śmiercią. Nie odczuwał go i teraz. Pasja życia była w nim silniejsza od wszystkiego, co mogło ją nadwątlić lub zarysować. Lecz po raz pierwszy wnikał w niego lęk, że może zostać pokonany. I gdy zdał sobie sprawę z tego niepokoju, odczuł go jak klęskę.

Wsłuchując się w siebie, z niezwykłą jasnością, którą zawsze odnajdywał w chwilach ważnych i decydujących, wyraźnie chwytał wnikający w swoją świadomość strumień obcych myśli. Było to przejmujące, fizyczne niemal uczucie, jak gdyby wrastał w niego nowy nieznany organizm i powoli nabierając życia stawał się niezależnym człowiekiem. Tym więc usilniej starał się odciąć od wszystkiego, co działo się dokoła. Świadomość, wprawdzie mniej od poprzedniej jasna, więc tym bardziej dręcząca, mówiła mu, że pomiędzy owym wrastającym w niego istnieniem a ludźmi stojącymi w szeregach zachodzi jakaś wspólność, mgliste i obciążające braterstwo.

Stał pomiędzy "sztubowym" i sędzią Makowskim, a luka, jaka powstała przed nim w pierwszym szeregu, ukazywała mu bose nogi zabitego Wachowiaka. Starał się nie patrzeć na nie, lecz niepokój, którego nie mógł zgłuszyć, uporczywie skierowywał jego spojrzenie w tamtą stronę. I wbrew wszystkiemu, czego od siebie żądał, wpatrywał się uciekającymi oczami w te stopy piętami zwrócone ku górze, sczerniałe od wżartej w nie ziemi, nieruchomo wystające z przykrótkich nogawek pasiastego drelicha. Resztę ciała zasłaniało ramię Karbowskiego. Nagle to ramię drgnęło.

Z głębi mroku, z samego środka wirujących w nim płomiennych kręgów, dobiegł Stasia głos Trojanowskiego.

—Przyjacielu — szepnął aktor.

Staś obrócił ku niemu głowę. Jeszcze słyszał w sobie suchy, urywany stuk bębenka i poprzez ten rytm natarczywy i poprzez chwiejące się w blasku powietrze, ujrzał zwróconą ku sobie twarz Trojanowskiego, potwornie zniekształconą sińcami, skurczoną jakoś dziwnie, a równocześnie opuchniętą, sczerniałą od rysów krzepnącej krwi. Począł wpatrywać się w tę twarz nieprzytomnie, aż wreszcie oczy jego spotkały się z oczami tamtego.

—Przyjacielu — powtórzył Trojanowski.

Staś ciężko dyszał pół otwartymi ustami. Nagle Trojanowski odwrócił się od niego. Przez plac szli gruby Greiser i długoręki Schmidt.

—Uważaj — szepnął Trojanowski.

Ale tamci skręcili ku pierwszemu blokowi. Gdzieś na tyłach trzeciego chrypiał głos Nadolnego. I nagle Staś poczuł w swojej dłoni obcą rękę. Dotknęła go zrazu lekko końcem szukających palców, po tym zamknęła się naraz mocno i tak pozostała. Trojanowski nie ruszał się, patrzył przed siebie. Staś także. Czuł jednak wyraźnie, jak ta skostniała z zimna, chropawa męska dłoń wydźwiguje go z nieprzytomności i przywraca samemu sobie. Wtem, nim zdążył całkiem otrzeźwieć, krzyk Nadolnego począł się przybliżać. Dłoń szybko się cofnęła.

* Por. nr. 23 i nr. 24 "Polski Walczącej" z b.r.

DO MOICH ZMARŁYCH

Zmarli moi, nie opuszczajcie mnie!
Tylko przy waszej śmierci bliski jestem życia,
Tylko wspomnienie o was nie zmniejsza mi świąta,
Tylko wy nieskalani uszliście rozbicia,
Tylko śród was mam ojca i matkę i brata,
Tylko wasze istnienie jest mi tu konieczne,
Tylko za wami iść mi, iść na wieki wieczne.

Zmarli moi, pozostańcie przy mnie!
Tylko przez was nie ginie to, co kiedyś było,
Tylko przez was zabliźnia się czas poszarpany,
Tylko przez was pojmuję mą przyszłość zawiłą,
Tylko w was śmierć i życie nie krwawią, jak rany,
Tylko na was się godzą i w was nie są sprzeczne,
Tylko za wami iść mi, iść na wieki wieczne.

Zmarli moi, pomóżcie mi!
Tylko przez was się budzi moja wiara ze snu,
Tylko przez was dosięgam jej siły w pokorze,
Tylko wy mnie wznosicie nad próbę doczesną,
Tylko z wami podejmę i przejdę ją może,
Tylko z was mnie oświeca, co jest ostateczne,
Tylko z wami iść mi, iść na wieki wieczne.

Zmarli moi, usłyszcie mnie!
Tylko tą ludzką mową mówić do was mogę,
Tylko tą ziemią zdążać, która was poczęła,
Tylko to niebo wspomnieć i pola i drogę,
Tylko to miasto w gruzach, zburzone w niem dzieła,
Tylko za wami, coście szli w łuny tameczne
Tylko za wami iść mi, iść na wieki wieczne,
Amen.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

Kłopoty korespondenta wojennego



Polacy w obozie Holdern koło Wesel witają polskich spadochroniarzy

Pilni czytelnicy "Polski Walczącej" może pamiętają z jakimi kłopotami był związany odlot Brygady Spadochronowej na akcję bojową do Arnhem. Opowiadałem o tym swego czasu na łamach tego pisma, jak to mieliśmy lecieć do Francji, lecz cel naszej wyprawy został zmazany z mapy działań wojennych przez brawurowe zagony pancerne amerykańskiego generała Pattona, jak to podobny los spotkał inne wyznaczane spadochroniarzom i odwoływane zadania bojowe we Francji, Belgii i Holandii; jak wreszcie, gdy desant wojsk powietrznych na Arnhem stał się faktem dokonanym, Polska Brygada dwukrotnie załadowywała się i wyładowywała z samolotów na lotniskach w Anglii, bo przeklęta mgła nie pozwalała na start. Widocznie taka już jest dola spadochroniarzy i korespondenta wojennego, który nieopatrznie związał swój los z tą skrzydlatą bronią. Wojna z Niemcami się skończyła, ale los się nie odmienił.

Siedziałem sobie najspokojniej w kanadyjskim obozie prasowym w Nijmegen, w Holandii, zażywając wszystkich przyjemności korespondenta wojennego przy wojskach lądowych, w tym wypadku przy naszej Dywizji Pancernej, która wtenczas, w kwietniu b.r., trzymała odcinek frontu nad Mozą i czekała na swoją rychłą kolej wzięcia udziału w ofensywie Sprzymierzonych w Niemczech. Czekałem również na zajęcie Arnhem, które jak na złość broniło się zaciekle za barierami rzek i błot, nie dopuszczając naszych wojsk do północnej Holandii, a mnie do nęcących tematów z pobojowisk pierwszej bitwy o Arnhem.

W obozie prasowym są idealne warunki do pracy dziennikarskiej: samochody i wszystkie urządzenia transmisyjne, jak radio, telegraf i poczta lotnicza. Brakowało w tym okresie tylko tematów, bo na odcinku Dywizji Pancernej było bez zmian, a dorzynanie Niemców chwilowo bez udziału Polaków niezbyt interesowało naszą prasę. Nareszcie przyszło i to. Długo oczekiwany rozkaz poderwał Dywizję Pancerną i pośpiesznymi marszami przerzucił ją na północ Holandii, gdzie toczyły się ciężkie walki, a pod Nijmegen rozpoczęła się lokalna akcja, zmierzająca do zdobycia Arnhem.

Właśnie w tym interesującym momencie odezwał się demon odlotów czy też wyjazdów Brygady Spadochronowej. Otrzymałem depeszę, abym wracał do Anglii, na moje stałe miejsce — do spadochroniarzy. Wiedziałem z góry, że to fałszywy alarm, że wzywają na normalne czekanie, na ten nużący ciąg alarmów i odwoływań, ale musiałem wyjechać, rozstając się żałośnie z nieosiągniętymi tematami.

W Brygadzie przywitano mnie tym zwyczajnym: miało coś być — akcja bojowa, ale odwołano ły znów alarmy, pół-alarmy i ćwierć-alarmy, kończyło się na i ćwierćalarmy, kończyło się na ćwiczeniach, pakowaniu się i rozpakowywaniu się, ale ja wolałem oszczędzić siebie i czekać na wyklarowanie się jakiejś wyprawy z dala od nieszczęsnych towarzyszów poprzednich doświadczeń i przygód. A wreszcie to coś nastąpiło tak nagle — też rzecz normalna — że ledwo zdążyłem przyłapać ostatnią partię wyjeżdżającą z m.p. Brygady.

Oprócz tej ostatniej *"rear party"* cała Brygada zniknęła i nikt z nas nie wiedział w jakim kierunku. Mieliśmy podążać jej trasą zakamuflowaną tajemniczymi numerami i literami *"transit camp'ów"*. Największą dla nas tajemnicą była właśnie ta tajemnica, bo to już działo się po radośnie obwołanym zakończeniu wojny z Niemcami i wszystkie "black-out'y" zniknęły bez śladu w ciągu jednej nocy.

Korzystając z posiadanego jeszcze pół dnia skoczyłem do Londynu do sympatycznego patrona przydziałów i podróży korespondentów wojennych przy SHAEF-ie ameryk. kapitana H. W. Clark'a, który miłym uśmiechem i szybką decyzją rozwiał wszystkie moje wątpliwości.

—Chce pan znów lecieć z Brygadą Spadochronową. — Ależ oczywiście, zaraz wystawię odpowiednie pismo. Zgłosi się pan z tym u majora Roy Oliver'a w Oslo.

—Co, gdzie?

—W Oslo, w Norwegii!

Miałem ochotę uściskać kapitana. Do Norwegii! Jako jeden z tylko trzech korespondentów wojennych. Pierwsza moja historia — z lotu — musi iść na użytek całej prasy, bo leci tam tylko trzech. Byłem zachwycony udziałem w tej nobliwej operacji powietrznej, wprawdzie powojennej, ale zawsze w bardzo dziewicze strony, tam gdzie Niemcy czekają na kogoś, ktoby zechciał wziąć od nich broń. Major Roy Oliver — ten sam, który był w Arnhem i został ranny, jest *Public Relations Officer'em* 1 Brytyjskiej Dywizji Powietrznej, do której przez cały czas należała nasza Brygada Spadochronowa. A więc tajemnica rozwiana — nasza Brygada jest w Norwegii i jutro będę w Oslo.

Całe moje *"rear party"* również ucieszyło się tą wiadomością. Potwierdziły ją notatki w prasie angielskiej, donoszące, że "ludzie w mundurach brytyjskich, którzy walczyli w zeszłym roku w Arnhem, wylądowali w Norwegii". Przecież prasa angielska inaczej nie pisze o Polakach, będą to albo "ludzie w brytyjskich mundurach", albo "oddziały alianckie", albo "żołnierze Armii Kanadyjskiej", albo — "8-ej Armii". Więc wszystko się zgadzało.

Zgadzało się do chwili naszego przyjazdu do *"Transit Camp'u"*. Był to *"Camp"* dla podróży morskich, a nie samolotowych, a Brygada właśnie wyjechała z tego obozu. Następnie w ogóle nie chciano nas nigdzie posyłać, bo nikt o nas nic nie wiedział. Biedna nasza grupa — 40 ludzi i 16 samochodów — osiadła smętnie w namiotach i rozpoczęły się dni czekania. Klęliśmy na wszystko: na kasyno, na klub oficerski, na kino, na teatr "ENSY", a nawet na rewię w głośnym teatrzyku "Windmill", do którego wymknęliśmy się — do Londynu. Nareszcie po kilku dniach dostaliśmy miejsce na statku.

Statek płynął do Ostendy, a nie do Norwegii. Mieliśmy jeszcze nadzieję, bo razem z nami płynęli kanadyjscy lotnicy z przeznaczeniem do Hamburga. Niby po drodze. Ale w Ostendzie rozwiały się resztki naszych złudzeń. Skierowano nas do — Gochu w Niemczech i tam właśnie koło Kleve odnaleźliśmy zgubioną Brygadę.

Zamiast więc w Oslo, znów znalazłem się w starych kątach, po których włóczyłem się poprzednio, podczas ofensywy Armii Kanadyjskiej na Ren i za Ren. Brygada zakwaterowała się w cudem ocalałych domach w Kellen i za parę dni miała odejść na północ w pobliże naszej Dywizji Pancernej. Było to dla mnie pocieszające, bo w tamtych stronach spodziewałem się znaleźć kanadyjski Obóz Prasowy, ten sam, w którym przebywałem w Nijmegen.

A bez obozu prasowego nie ma życia dla korespondenta wojennego. To znaczy żyć może, bo jeść i nawet popić dostanie w wojsku, ale nie dostanie tam dwóch zasadniczych rzeczy, bez których wszystko schodzi na psy, t.zn. drutu telegraficznego i poczty lotniczej z jednej strony, a z drugiej transportu, czyli nędznego *"jeep'a"*.

Z Kellen wszędzie jest strasznie daleko, tak do obozu prasowego Armii Kanadyjskiej, jak i do 2 Armii Brytyjskiej, jak do Brukseli. Słowem napisać sto reportaży i depesz, a potem rozpłakać się nad ich losem. Napisałem ich o wiele mniej i zamiast rozpłakać się, żyłem nadzieją wyjazdu Brygady na stały przydział. Ten stały przydział jest o tyle ważny dla korespondenta, że od przydziału jednostki do jakiejś armii zależy również przydział korespondenta. Tymczasem dzięki spadochronowym kamuflażom, pod którymi zniknęła Brygada z W. Brytanii, otrzymałem przydział do 1 Brytyjskiej Dywizji Powietrznej w . . . Norwegii, czyli albo musiałem namówić Brygadę, aby zechciała ze mną pojechać do Oslo, albo też Oslo przenieść do Kellen.

Najłatwiej było wystarać się o zmianę przydziału. Był tylko ten szkopuł, że wciąż jeszcze ten wyjazd na północ nie mógł się skrystalizować. Już pojechała tam partia kwatermistrzowska, ale wróciła z niczym, bo wyznaczony teren do zakwaterowania okazał się krainą błot, moczarów, ryb i żab. Rozkaz został odwołany i znów czekano "w ciemno".

Brygada na ziemi niemieckiej osiadła raczej z niesmakiem. Przede wszystkim okolice Kleve są strasznie zniszczone — ruiny, ruiny i ruiny. Dobre to jest dla Niemców — jako środek wychowawczy, ale samemu żyć wśród tych gruzów?

Na szczęście w pobliżu m.p. Brygady znalazły się obozy polskiej ludności cywilnej. Polska bieda, z którą zetknął się żołnierz, wzruszyła go i napełniła troską o rodaków. Zaczęły się akcje pomocy, odwiedzania obozów, urządzania wspólnych — nie wiem jak to nazwać, bo nie można tego określić słowem zabawa — raczej wspólnych chwil radości patrzenia na siebie i rozmawiania.

Ale obozy są oddalone o godziny jazdy samochodem i niecodziennie można tam trafić. Natomiast każdy dzień ma swoje godziny pozasłużbowe i właśnie w tych godzinach można się urwać z nudów. Niby jest kino, ale takie wojskowe. Niby jest kantyna, ale nic tam nie można dostać, oprócz szczoteczek do czyszczenia fajek i proszku do zębów. W karty grać się nie chce, rozmawiać się nie chce, spać nie chce się, czytać nie ma co — zresztą bardzo trudno ze światłem, lampy naftowe są tylko w pokojach nielicznych szczęśliwców, a świece są na wagę złota.

Aby czas jakoś wypełnić nie zaniedbujemy żadnej okazji urządzenia uroczystości, nabożeństwa, defilady. Wszyscy byli na przykład bardzo wdzięczni gen. Crocken'owi, dowódcy I Korpusu Brytyjskiego za to, że przyjechał odwiedzić Brygadę. Była więc z tego powodu wspaniała defilada i Niemcy z szacunkiem przyglądali się naszym oddziałom maszerującym na baczność niemal z pruskim przytupem. To strasznie podnosi nasz prestiż.

Następnie nasz prestiż jest podparty jeszcze jednym filarem — katolicyzmem. Niemcy w tych stronach są katolikami i niemal tak praktykującymi jak Holendrzy. Tylko, że to Niemcom nie przeszkadza być prawdziwymi Niemcami. Oczywiście propaganda hitlerowska malowała przed ich oczyma obraz Polaków w ramach największego zdziczenia i barbarzyństwa. Tymczasem na własne oczy zobaczyli życie religijne wojska polskiego, posłyszeli polskie pieśni pobożne i stawili się tłumnie na naszą mszę polową i procesję Bożego Ciała, chociaż nikt ich o to nie prosił. Sami też urządzili wystawną procesję. Właśnie pod okupacją brytyjsko-polską — we własnym państwie nie wolno im było urządzać procesyj.

Osobiście miałem tego wszystkiego dość i wyrywałem się do tematów za Ren, to znaczy do obozów polskich, do których ze względu na brak tego — niech go krew zaleje — samochodu, mogłem dostać się tylko okazyjnie. Cierpiałem wciąż na brak możności wysyłania napisanych rzeczy. Miałem jeszcze nadzieję, że może coś mi w tym pomoże Korpus Brytyjski, ale Korpus tyle samo wiedział o położeniu obozów prasowych, co i ja — więc wróciłem jedynie z miłą wiadomością, że znów wyszedł rozkaz wysyłający Brygadę na północ. Zanim jednak zdążyła wyjechać partia kwatermistrzowska — rozkaz został odwołany. Taki los spadochronowy! . . .

Chodziłbym po ulicach i wyłbym z wściekłości na wszystko, ale na szczęście spotkałem przyjaciół artylerzystów. Zaprosili mnie serdecznie do swego oddziału, abym z nimi pomieszkał, że będzie im miło. Nie, to nadzwyczajne! Jeszcze nikt mnie nie zapraszał w Brygadzie do siebie. Każdy powiada, że jestem jednym z nich, że należę do ich grona, a więc nic ich nie obchodzę i mogę sobie złamać pysk. A ci raptem zapraszają!

Spakowałem się w przeciągu pół godziny — przyslali nawet po mnie samochód — i już ze wszystkimi manatkami byłem w artylerii. Tam oczarowała mnie z miejsca atmosfera zgranej paczki. Dali mi kąt w pokoju, dali whisky, powiedzieli, że mogę robić co mi się podoba, najwyżej — jeżeli im się to nie będzie podobało, to dadzą mi w łeb. Sam otrzymałem te same prawa.

Artylerzyści umieją żyć! Tegoż samego dnia zajechały do oddziału samochody i przywiozły najmilszych gości: kilkanaście Warszawianek z obozu w Wesel. Nie wiedzieliśmy, jak im dogodzić. Sprowadzono orkiestrę taneczną Brygady, naznoszono wcale jeszcze sute resztki tych sławnych miesięcznych racji butelkowych, śpiewano pieśni: my im nasze — z włóczęgi po świecie, a one zaśpiewały nam te najrzewniejsze z najrzewniejszych, bo z Kraju, z lat niewoli i walki.

Kiedyś w przystępie rozpaczy napisałem list do korespondenta wojennego Stefana Kossaka i wysłałem jakąś beznadziejną drogą, bo nie wiedziałem nawet, czy Stefan jest na Kontynencie. W tym liście prosiłem o skontaktowanie mnie z władzami prasowymi. I oto podczas tego miłego przyjęcia otrzymałem z Brygady telefon, że przyjechał po mnie jakiś Kanadyjczyk. Byłem w stanie, w którym człowiek jest zdolny do natychmiastowych, słusznych decyzji.

—Co? Kanadyjczyk? Dawać go tutaj, niech zobaczy nasze Warszawianki!

Za chwilę przyjechał. Był to kapitan Fred Drolet z Kanadyjskiego Obozu Prasowego. Wpadł tutaj po drodze, aby zabrać mnie zaraz do Obozu, który jest aż w Almelo w Holandii. Kochany Drolet! Oczywiście — zaraz tam jadę, ale muszę znów zabrać manatki. Niech więc trochę poczeka. Prosił, abym się śpieszył, bo przed nami jeszcze daleka droga. Żal mi było porzucać tak miłą kompanię na wstępie tak dobrze zapowiadającego się wieczoru. Zaprowadziłem kapitana i oddałem go w ręce artylerzystów, aby z właściwą im umiejętnością skrócili mu czas czekania na mnie.

Kiedy spakowałem się pośpiesznie i przyszedłem po kapitana Drolet, całe towarzystwo tańczyło walca, a mój miły Kanadyjczyk tańcząc z jedną z Warszawianek spojrzał na mnie z wyrzutem, że tak szybko wróciłem. Mnie też było przykro, więc z łatwością namówiłem go na jeszcze jeden taniec, potem znów zatańczyliśmy i żal mi było tak jego, jak i mnie samego, że musimy opuścić nasze towarzyszki.

Wreszcie samochód uniósł nas na północ. Miałem jeszcze nieco płynnego złota w manierce, więc dałem pociągnąć memu towarzyszowi i sam pociągnąłem. Powtórzyliśmy to parę razy nie rozmawiając ze sobą. A wreszcie kapitan spojrzał na mnie i rzekł:

—Żebyś wiedział, jak mi przykro, że nie mogliśmy pozostać. Nigdy nie sądziłem, że Polki są tak miłe.

—*Yes* . . . — i znów sięgnąłem po manierkę.

W obozie zastałem wszystko tak samo, jak było w Nijmegen: ucieszyłem się na widok *"Warcos' Work Room"* /Pracownia Korespondentów Wojennych/ i *"Copy Room"* /Pokój nadawania korespondencji/, i *"Film-Photo Office"*, i *"Mess"* — tylko niektórzy ludzie się zmienili i z korespondentów pozostały same niedobitki, bo już jest po wojnie. Właściwie zupełnie niepotrzebnie wyjechałem do Londynu, bo mógłbym tu siedzieć — bez tych wszystkich spadochronowych kłopotów — i skutek byłby ten sam. Ale wtenczas nie byłoby tych kłopotów, jeszcze jednej historii w życiu korespondenta wojennego.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

Polki z Holdern i spadochroniarze



Dwa opowiadania lotnicze

Petardy wielkanocne

Przed wojną wielki huk dostarczał wielu ludziom wielkich wzruszeń, a Wielkanoc była wielką okazją do wielkich huków. Począwszy od Wielkiego Piątku huczały petardy podkładane pod tramwaje, pękały amatorskie bomby, strzelały najróżnorodniejsze mikstury wybuchowe, napełniając powietrze hałasem, a serca wiernych — uczuciem odświętności.

W czasie wojny jednak wielki huk przestał być sensacją. Prawdziwe bomby, artyleria, V-1 i V-2 stały się codziennym pokarmem dla stępiałych uszu. Dzisiaj tak zżyliśmy się z hałasem, że w braku bomb i artylerii nastawiamy radio na *jazz*, byleby tylko zapełnić ciszę odgłosami z pola bitwy.

Na naszym holenderskim lotnisku przez cały marzec huk był prawie nieustający, tak we dnie, jak w nocy. Artyleria z nad Renu odzywała się regularnie co dwie minuty, a na jej głębokim, basowym tle hałasowały z bliska V-1 — "siromachy" i V-2 — rakiety. "Siromachy" chodziły gromadnie rano i wieczorem, a pojedyńczo w nocy. Rakiety odzywały się w dzień, ale rzadko; częściej można było je zobaczyć, jak wyrastały białą, zygzakowatą łodygą w okolicach Hagi. Nie były przeznaczone dla nas, ale niektóre z nich, zbłąkane, robiły huki i wstrząsy w okolicach lotniska. "Siromachy" miały swoją trasę do Brukseli akurat nad mesą i kwaterami mieszkalnymi. Już o zachodzie słońca słychać było głębokie granie z daleka, a w chwilę później ukazywały się na niebie. Szły nisko, a przechodząc nad samymi domami turkotały tak silnie, że domy trzęsły się, a szyby dzwoniły. Na dalszej swej drodze napotykały naszą artylerię, która wprawiała domy w jeszcze silniejsze konwulsje, póki nie nastąpił jeden, bardzo silny wstrząs, poczem wszystko cichło, aż do następnej "siromachy".

Ale my, myśliwcy, byliśmy nie tylko słuchaczami, ale i twórcami huków. W ogóle jesteśmy głośna broń, czy to w powietrzu, kiedy lecąc w dwanaście, lub trzydzieści sześć, śpiewamy chóralnym barytonem, lub gwiżdżemy na skrzydłach /znacie chyba ten wspaniały, charakterystyczny tylko dla "Spitfire'a" gwizd skrzydeł?/, czy to na ziemi, kiedy po locie omawiamy dobre strony prowadzących i błędy bocznych.

Poza tymi hałasami mamy jeszcze bomby. Nie słyszymy sami ich huku, tylko widzimy go, jeśli wybaczycie taki nonsens; ale jest w tym trochę słuszności: kiedy patrzy się na nagły błysk ognia i słup dymu tam, gdzie przed chwilą był spokojny barak, lub cichy tor kolejowy, to oczy przekazują uszom część z tego, co tylko dla oczu jest przeznaczone.

Każdy z nas, lecąc, ma trzy takie petardy, całkiem ciężkie — po pięćset i dwieście pięćdziesiąt funtów — można sobie wyobrazić ten huk. I ulgę dla "Spitfire'a" po ich wyrzuceniu: ciężka i leniwa maszyna robi się znowu lekka i zwrotna, powraca do swej myśliwskiej formy.

Wielki Tydzień nie różnił się początkowo od każdego innego tygodnia, jeżeli chodzi o hałasowanie naszymi petardami: dwa, trzy loty dziennie, przeważnie na przecinanie torów kolejowych i na *strafing*. Przecinając tory, utrudniało się Niemcom ucieczkę z północnej Holandii, ale głównym celem było dobro mieszkańców południowej Anglii: odcięcie dostaw V-2 do wyrzutni.

Już dawno Londyńczycy stwierdzili związek między pogodą a ilością rakiet: po kilku dniach dobrej pogody rzadko było słychać w Anglii charakterystyczne wybuchy, lecz wystarczył jeden dzień mgły, żeby V-2 trzaskały po kilka naraz. Związek prosty dla nas w Holandii: przy lotnej pogodzie mogliśmy utrzymać tory poprzerywane, a Niemcy nie mogli ich naprawiać pod groźbą *strafing'u*. Jeden dzień nielotny wystarczał im na prowizoryczne połatanie torów, a następna noc — na dowiezienie rakiet na wyrzutnie. Te tory znało się już na pamięć, na tor od osławionego Zwolle leciało się z zamkniętymi oczyma /żeby nie widzieć artylerii, która z Zwolle grzała siarczyście/.

Tymczasem w Wielki Piątek, pod wieczór, zwołano nas na *briefing* — na następne rano. Dowiedzieliśmy się, że w niewinnej cegielni nad Renem, tuż za linią frontu, mieści się magazyn amunicji. Ale będzie huk na Wielką Sobotę! Wszystkie trzy dywizjony — cały *Wing* miał rzucić petardy.

Ale następnego ranka pogoda była niewyraźna. Bez mgły, ale z wielką ilością różnych chmur na różnej wysokości. A na nasze bombardowanie potrzeba nam przynajmniej siedmiu tysięcy czystego powietrza nad celem. Bo cel, który myśliwiec ma zbombardować z lotu nurkowego, to nie miasto o powierzchni kilku mil kwadratowych, to wąski tor kolejowy, lub pojedyńczy budynek, lub stanowisko artyleryjskie, małe i dobrze zamaskowane. Właściwie nasze bombardowanie jest raczej strzelaniem bombami, bo celujesz przez normalny celownik myśliwski, nadając bombom kierunek kierunkiem pikowania, a kiedy cel najdzie ci na właściwy punkt celownika, naciskasz spust i — *off they go*, a ty czujesz, jak maszyna drgnęła i wyskoczyła z radości po pozbyciu się nie-myśliwskiego ciężaru. Teraz wyciągasz powoli, ostrożnie, ale i tak często cię mroczy, bo jazdę masz od trzystu do czterystu, lub więcej, mil na godzinę. Ciągniesz w górę głębokim skrętem przez plecy, a cała twoja uwaga jest teraz skierowana na cel: czekasz niecierpliwie na chwilę, kiedy słup ognia i dymu buchnie z powierzchni ziemi, a ty poczujesz się, albo ogromnie szczęśliwy i dumny, albo ogromnie zawstydzony i zły, zależnie od odległości od celu, w jakiej widzisz swoje t r a f y.

Często jednak w tej obserwacji przeszkadza ci konieczność obserwacji innych wybuchów: artylerii naokoło twego samolotu. Czarne, białe i siwe dymki pojawiają się nagle przed tobą, za tobą, w górze, z dołu i po bokach, a wśród nich świecą różowe, smugowe pociski, t.zw. "kiełbaski". Wijesz się w tym eksplodującym gąszczu, ale to nic nie pomaga, jeżeli artyleria robi zaporę: nie celuje do ciebie, tylko po prostu wypełnia kilometr sześcienny powietrza, w którym właśnie lecisz, wszelkiego rodzaju wybuchającym świństwem.

Żeś dostał, poznajesz po wielkim hałasie. Hałas jest niesamowity nawet wtedy, kiedy dostałeś nieszkodliwie, gdzieś po ogonie, lub po skrzydle. Jesteś przekonany, że z całego samolotu zostały strzępy, ale ostatecznie lądujesz i wtedy z dumą oglądasz sito w kadłubie, lub w płacie dziurę na łokieć. Kiedy lataliśmy nad Ruhrę, przy zdobywaniu linii Zygfryda, mało kto wracał z lotu bez dziur.

Często w ogniu artylerii podrzuca cię tylko, choć nie dostałeś. Czasem podrzuca zupełnie figlarnie: Mietka kiedyś przewróciło na plecy, czym się bardzo zmieszał, bo już dawno nie ćwiczył akrobacji; przez chwilę leciał na plecach, ale doszedł do wniosku, że tak lądować nie można, więc zrobił pół beczki, przywracając maszynę do normalnego położenia.

Ale wróćmy do wielko-sobotniego poranku i chmurnej pogody. Wysyłają mnie, w dwójce, na rozpoznanie pogody — *weather reco*. Startujemy z mrocznego jeszcze lotniska, na ziemi jeszcze przed wschodem słońca, ale na wysokości kilku tysięcy stóp strzępy chmur nad nami zaczynają krwawić; nie widać ich z ziemi, bo pod nami cienka warstwa pofalowanych obłoków. Ani my ziemi nie widzimy, zagubieni w świecie chmur.

Lecimy na wschód, a przed nami i wokoło nas chmury budują fantastyczny teatr atmosfery. Po bokach wiszą ciemne, ciężkie fałdy rozsuniętej już kurtyny, spięte od góry dwoma łukami granatowych obłoków z malinowym rąbkiem. Pod nami — równa powierzchnia "baranków", niewyraźna w mroku, jak rzędy widowni, uciszonej, wpatrzonej w scenę. Scena jeszcze pusta, ale zalana purpurowym światłem z niewidzialnej rampy. W purpurowej głębi zawieszone bezkształtne strzępy chmur, wizja dekoracji do nieziemskiego dramatu. Pośrodku, w niezgłębionej dali, jasność silniejsza, jak od snopu reflektorów, akcentujących główny punkt widowiska.

Aż nagle czerwoność całej sceny rozczerwieniła się jeszcze mocniej, rzucając fioletowe odblaski na oniemiałe obłoczki widowni, jasność głębi rozjaśniła się jeszcze silniej, a w środku tej jasności, z niewidocznej zapadni, wstępowało na scenę — słońce. Wolno i majestatycznie dźwigało się pomiędzy strzępiastymi widami dekoracyj, najpierw ciemno-rubinowe, zimne, potem rozżarzające się stopniowo, potem gorejące krwawo, jak czara Grala w Wielkopiątkowym Cudzie.

Ale już z góry cicho spadały sine zwoje kurtyny. Wlecieliśmy w chmurę ciężką i ciemną i w tej samej chwili cały czarodziejski świat barw i świateł przestał istnieć. Nastała smutna, wilgotna szarość, w której z trudem widać drugi samolot, lecący skrzydło w skrzydło.

Tu zawierz instrumentom i nie ufaj zmysłowi równowagi, który nie da ci znać, że lecisz na plecach, a za to w najrówniejszym locie po prostej dostarczy ci przedziwnych wrażeń: że skręcasz, że walisz się na skrzydło, że pikujesz pionowo, że przestałeś lecieć i ugrzęzłeś nieruchomo w szarej pajęczynie.

Tymczasem posępny mrok rzednie, rozjaśnia się, błękitnieje, szara kurtyna w ułamku sekundy spada i zostaje pod nami, już śnieżyście biała i puchowa, kiedy na nią patrzeć z góry, a my wpadamy w drugi akt słonecznego widowiska: dzień. Nad nami czysty, tęgi błękit, a w błękicie jarzy się i złotem kipi słońce, i oślepia intruzów, co przebili płaszcz mroków, okrywający ziemię.

Pętamy się po niebie z pół godziny, poczem przez potrójną warstwę różnych chmur wracamy do świata ludzi, do ziemi, owrzodzonej bombami, do drzew, uschłych w ogniu bombardowań, do ruiny hangaru, bielejącego jedyną, nagą ścianą z wielkim napisem: *rauchen verboten*. /Budowany przez "Luftwaffe", przed kilku laty, tak jak całe nasze lotnisko/.

Sytuacja narazie jasna: nie ma mowy o bombardowaniu przy takiej pogodzie. Bierzemy się więc do zajęć, przewidzianych na nielotne warunki atmosferyczne: gra w "kierki", gra w dwuosobowego bridża, gra na harmonii. Ta ostatnia jest jednoosobowa, grać umie tylko Leszek. Ale za to kiedy Leszek gra — przestają grać karciarze i przybierają pozy bestyj, słuchających Orfeusza.

Tak mija dzień. Słońce już jest na zachodzie, a my w mesie po kolacji, kiedy nagle alarmuje telefon, wzywając wszystkich pilotów na lotnisko. Rzeczywiście rozpogodziło się zupełnie, ale do zupełnego zmroku pozostaje niecała godzina. W pośpiechu startujemy. Przy starcie zachlapuje mi olejem szybę — pech wyjątkowy: nareszcie miałbym szansę trafienia, bo cel taki duży, a teraz jestem zupełnie ślepy do przodu.

Dolot trwa krótko, bo cel tuż za linią frontu. Słychać dobrze znane komendy: "Odbezpieczyć bomby" i "Peleng w prawo" i za chwilę sznur trzydziestu sześciu "Spitfire'ów", jak chmara głodnych sępów, zatacza kręgi nad upatrzoną ofiarą. Już pierwszy spada drapieżnie na zdobycz, uwalnia się od ciężaru bomb i wyciąga zawrotnym skrętem, za nim drugi, trzeci, w równych odstępach, jednakim manewrem.

Kolej na mnie. Pikuję i przez zamazaną szybę staram się rozpoznać cel. Łatwiej to przychodzi, niż oczekiwałem: słupy ognia wznoszą się ponad dachami wielkich magazynów. Naciskam guzik bomb i wyciągam za poprzednikiem, wykręcając głowę do tyłu, żeby zobaczyć, gdzie wybuchły, ale nie mogę ich umiejscowić wśród ustawicznych wybuchów, prawdopodobnie nie tylko bomb, ale i amunicji.

Ostatnia maszyna przechyla się na skrzydło, spada, rzuca bomby i wyciąga, dołączając do reszty. Przez chwilę krążymy znowu sznurem w koło, jak sępy — nasycone sępy, i przyglądamy się naszej ofierze: płonie biedactwo kilkoma wielkimi płomieniami, ciężko wzdychając czarnymi kłębami dymu.

Bierzemy kierunek na południo-zachód, do domu. Po prawej ręce, w opalowej atmosferze zachodu błyszczą rozlewiska i ujście Renu. Na scenie — trzeci i ostatni akt słonecznego dramatu: wieczór. Wielki aktor ginie, tonąc w dalekim morzu. Za nim postępuje orszak pogrzebowy świateł i kolorów: pierwsza, najbliższa rodzina — dumna królewska purpura; za nią bledsza, lecz jeszcze jasności pełna, świetlista, zamglona srzeżoga; dalej szlachetny seledyn, dalej czysta akwamaryna, a po bokach szkarłatni paziowie — obłoczki smukłe i zwiewne.

Gasną powoli czerwone światła niewidzialnej rampy, scena ciemnieje. Purpurowe strzępy chmur, płynące za orszakiem, fioletowieją, aż w końcu poszarzałe, bezkrwiste, błąkają się, jak upiorne nietoperze, i wieszają u stropu pustej, mrocznej sceny.

Noc pełznie z czarnych plam lasów uśpionej ziemi, podnosi się mglistą krepą z wilgotnych pól, dymi ciemnością z nad ołowianego kożucha zalewów i rzek.

Zagapiony w teatr niebieski, zamiast świateł nawigacyjnych włączam ogrzewanie szybkościomierza, czym wielce narażam się kolegom w szyku: rozchodzimy się do lądowania i mój samolot-widmo siada, widoczny dla innych tylko dzięki płomieniom z rur wylotowych.

—"Dlaczego nie zapaliłeś świateł nawigacyjnych" — zapytał ktoś w drodze do mesy.

I co tu mu odpowiedzieć? — że pod wrażeniem cudownego widoku nieba zapomniałem, gdzie jest właściwy wyłącznik? — że pięknoduchowi, rozskrzydlonemu w zachwyceniu, obce były myśli o czynnościach technicznych?

—"Zgłupiałem" — odrzekłem po prostu, nie wierząc w to sam ani na chwilę.

GUSTAW NIERAD

Waligóra wraca

Faraon oświadczył, że podporucznik Waligóra jest żywą niespodzianką; jest uosobieniem kontrastów ducha i ciała, i właśnie dlatego przezwali go w dywizjonie Waligórą. Podporucznik Waligóra wygląda jak cherubinek, jest drobny, szczupły, delikatny, różowy, grzeczny i w ogóle z pozoru takie chuchro, że — trącić, to się stłucze.

—Przyszło to — to do mojego *flightu* — powiada Faraon — bo mnie akurat tego dnia nie było; skorzystali i przydzielili, bo jakbym był, tobym przecie tej porcelanki nie przyjął. Jak go zobaczyłem, zły byłem jak cholera: co z taką ofiarą robić? Dywizjon myśliwski nie jest ochronką, ani przedszkolem dla grzecznych chłopczyków. Tu się lata po 10 godzin dziennie. Tu trzeba walczyć i nie dać się zabić. Tu nie ma czasu na niańczenie paniczyków.

To mu właśnie powiedziałem na przywitanie. A on na to, że właśnie myśli to samo i nikogo niańczyć nie zamierza, tylko latać — powiada — rębać Szwabów — powiada — i nie dać się zabić. Aż mnie zatknęło, rozumiesz, bo to wyglądało tak, jakby kanarek udawał tygrysa. No — cóż? Stało się: podporucznik był już przydzielony, więc został, a że pilotów było mało, więc zaraz tego samego dnia poleciał na zadanie razem z nami.

Muszę powiedzieć, że szczęścia miał więcej niż rozumu: pierwszy zaatakował pociąg na jakiejś niemieckiej stacji, zapalił go odrazu i mało razem z wagonami nie wyleciał w powietrze, bo prał z wysokości trzydziestu stóp, a tam był materiał wybuchowy. Więc po powrocie na lotnisko przezwaliśmy go Waligórą. W tydzień po tym miał walkę z "Messerschmittem" o napędzie odrzutowym i zgasił go jak świecę pierwszą serią, w oczach całego dywizjonu. A dwa tygodnie temu nie wrócił z zadania: zestrzelili go podczas bombardowania niemieckiej przeprawy.

Żal nam było Waligóry, ale pocieszaliśmy się, że jest w niewoli, bo Gruby widział, jak skakał ze spadochronem i lądował pod jakimś laskiem. Posiedzi i nasi go odbiją. A tu tymczasem w cztery dni później dowiaduję się, że nasz Waligóra jest w szpitalu polowym u Kanadyjczyków. Niemożliwe, żeby go odbili, bo wtedy stali w miejscu nad rzeką, której Niemcy bronili zaciekle, i nie mogli się przez nią przedostać.

Więc się głowimy, jakim cudem on się tam znalazł, a Gruby powiada: "Jasna rzecz — powiada — pobił te dwie pancerne dywizje niemieckie i wyrwał zanim przyszły posiłki z *Volkssturmu*". A Foka mówi, że nie ma co — jedziem do tego szpitala i niech Waligóra sam się przyzna jak to było. No to wzięliśmy "dżipa", Gruby powoził, i pojechaliśmy wieczorem, żeby dnia nie tracić. Myślałem, że go trudno będzie w tym szpitalu znaleźć, ale tylkośmy powiedzieli nazwisko, zaraz każdy wiedział, gdzie ten *"gallant ally"* leży, i zaprowadzili nas do niego od razu.

Trochę był przezroczysty na gębie i oczy mu wpadły w głąb, jakby się łajdaczył przez tydzień na urlopie, ale poza tym niczego mu nie brakowało. Koniaku, cośmy mu go przynieśli owszem łyknął, i opowiadał grzecznie, co i jak było. Więc, uważasz, wylądował z tym spadochronem w pobliżu jakiejś farmy, pod lasem. Niemców tam nie było, no to zapukał, wszedł i poprosił o cywilne ubranie. Mówi, że grzecznie prosił, ale nie chcieli dać, więc zwrócił im uwagę, że ma bardzo poważne argumenty na poparcie swojej prośby. — "A jakie?" — pytają. — "A takie!" — powiada i pokazuje pistolet. — "Dziewięć bardzo poważnych argumentów — powiada — jest w tym przyrządzie. Mam ich użyć, czy nie?" No to woleli bliżej się nie stykać z tymi argumentami i dali mu jakieś łachy. Przebrał się, spalił swoim mundurem w piecu i poszedł spacerkiem w kierunku frontu.

Jak zwykle, uważasz, więcej miał szczęścia niż rozumu, bo go nikt nie zaczepiał i nie gonił. Ale w nocy, pociemku wlazł na niemieckie pola minowe, po których bębniła kanadyjska artyleria. Chciał zawrócić, zwłaszcza, że dwie czy trzy miny wybuchły od tych pocisków, ale już było za późno, bo właśnie Kanadyjczykom przyszła ochota położyć ogień zaporowy i przed nim i za nim. — "Położyłem się — powiada — między druty kolczaste i leżę. Niewygodnie — mówi — bo i kłuje, i hałas, i ziemia się podemną rusza, a naokoło dym, kurz i nieprzyjemny zapach" — powiada. No i leżał tak, w tych "niewygodach" dwa dni i dwie noce, czekając aż się Kanadyjczykom znudzi. Ale im się nie nudziło, a jemu się jeść chciało, i — powiada — "coś-niecoś by wypił także". Ja myślę. A propos — każcie dać piwka, bo i ja bym się napił.

Ktoś zamówił piwo, Faraon wydudlił pół kufla i opowiadał dalej.

—Więc — jak powiadam — Waligórze wcześniej się znudziło, niż kanadyjskiej artylerii, i postanowił z tym skończyć. Drugiej nocy przed świtem wstał i poszedł prościutko przez to pole minowe, przez zasieki, leje i wykroty, w kierunku skąd leciały pociski. — "Tylko — powiada — kucałem, jak wyły, bo nie lubię jak mi nad głową gwiżdże".

Tak dotarł do rzeki i wlazł prosto na placówkę niemiecką. Jakiś oficer chciał go wylegitymować, ale Waligóra oczywiście po niemiecku nie umiał i legitymacji nie miał. — "Z przykrością — powiada — musiałem odmówić". Odmówił przy pomocy pchnięcia nożem i to tak kategorycznie, że Niemiec ani zipnął. Potem jeszcze z drugim rozmawiał. Też na migi i też posługując się nożem. — "Nie lubię — powiada — takich rozmów, ale co miałem robić, skoro mnie nahalnie nagabują?"

Po tych konwersacjach, zaczął sygnalizować latarką poprzez rzekę. Kanadyjczycy najpierw odpowiedzieli mu z karabinów maszynowych, ale jakoś im wytłumaczył, że nie o to mu chodzi, więc zrozumieli. Kazali mu czekać do rana, położyli za nim ogień zaporowy, żeby nie potrzebował użerać się z Niemcami i rzeczywiście o wschodzie słońca przypłynęli po niego łódką. — "Trochę — mówi — byłem zmęczony tym wszystkim, więc nie wiem, czy odpowiednio się zachowałem wobec moich wybawców. Zasnąłem im — powiada — w tej łódce i pewnie myślą, że jestem bardzo źle wychowany".

Taki jest ten mój beniaminek, Waligóra, uważacie. A jak go zobaczyłem pierwszy raz — trzech pensów bym za niego nie dał.

PORUCZNIK HERBERT

Maczków leży w Niemczech

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Maczków /Niemcy/, piątek 8 *czerwca* 1945

Na pograniczu holenderskim, lecz już po stronie niemieckiej leży miasteczko Haren. Znała je dobrze Dywizja Pancerna podczas kwietnionych działań, gdyż po zmianie kierunku ruchu z Emden na Wilhelmshaven tamtędy szły oddziały 10 Brygady Kawalerii Pancernej na forsowanie Kanału Kuesten. Przez Haren szło potem całe zaopatrzenie Dywizji. Polki z pobliskiego Obozu Kobiet-Żołnierzy Armii Krajowej w Oberlangen znały także to miasto. Było to najbliższe większe osiedle niemieckie i w pierwszych tygodniach po uwolnieniu cel długich pieszych wędrówek: do fryzjera.

Ale jeszcze w poniedziałek 21 maja nikt z przejezdnych ani nie przypuszczał, że po dwóch niespełna dniach znikną z miasta Niemcy a przybędą Polacy. A tym mniej, że po dwóch tygodniach będzie tutaj polska gmina miejska z własną administracją, służbą bezpieczeństwa, służbą porządkową, z warsztatami, szkołami, ochronkami, że u wjazdu będzie uderzać oczy duża tablica z napisem:

MIASTO MACZKÓW

Krótka historia miasteczka polskiego w północno-zachodnich Niemczech obfituje w wydarzenia, które dla kronikarza są ciekawe a dla mieszkańców i organizatorów osiedla — pasjonujące. Terminarz wydarzeń można by pokrótce tak naszkicować:

21 *maja:* dywizyjne "Dowództwo Opieki nad Polakami" podejmuje pracę,

22 *maja: "Military Government"* rozpoczyna wysiedlanie Niemców z Haren. Dziekan A.W. i kpt. M.K. przybywają do Haren by przejmować osiedle. Niespodziewanie przybywa popołudniu pierwszy transport 800 ludzi.

23 *maja:* dalszy transport 1600 osób /zamiast awizowanych 1400/ przybywa do Haren,

24 *maja:* rozładowanie w nocy w lejącym deszczu ostatniego transportu,

4 *czerwca:* uruchomienie pierwszych warsztatów pracy.

W przewidywaniu:

11 *czerwca:* rozpoczęcie nauki w szkołach,

12 *czerwca:* 75 ślubów w miejscowym kościele,

14 *czerwca:* uroczyste otwarcie miasta i jego chrzest.

Kilka dorywczo wybranych dat, które powiązane są z sobą dwiema nićmi przewodnimi: wielkim zapałem i zawziętą pracą.

* * *

Wczorajsze trudności wydają się drobne wobec dzisiejszych, to też w rozmowie z kierownikami a raczej organizatorami nowego osiedla wybija się na pierwszy plan sprawa dzisiejszych potrzeb. Powoli dopiero wychodzą na jaw szczegóły poprzedniego okresu i uderza ogromna praca włożona w utworzenie miasta.

Już wstępne chwile musiały być dla kapitana Mariana K. i księdza dziekana Antoniego W. niełatwe, gdy w chwili, kiedy ewakuacja Niemców zaledwie się rozpoczynała — przybył pierwszy transport nowych osiedleńców: osiemset osób, zapowiedzianych dopiero na popołudnie następnego dnia. Oczywiście zakwaterowano wszystkich i niestrudzone Polki z Obozu A.K., których obecnie przeszło pięćdziesiąt pracuje w Obozie znacznie dopomogły do rozładowania tego pierwszego przedwczesnego transportu. Ale, wykonanie tego było możliwe tylko kosztem największego wysiłku "załogi" /nazwijmy tak w odróżnieniu od samych stałych mieszkańców miasta — tę grupę ludzi, która organizuje osiedle, a więc żołnierzy Dywizji, byłych jeńców wojennych i kobiety z Obozu A.K./ i kosztem systematycznego obcinania godzin wypoczynku, godzin snu — niemal do zera. I to przez całe pierwsze dwa tygodnie tworzenia osiedla.

Mimo serdecznego poparcia, jakie daje Dywizja Pancerna, mimo wysiłków *"Military Government"*, które zaopatruje Maczków w żywność — trudności są ciągle znaczne, gdyż chodzi o takie nastawienie życia osady, aby jej zapewnić możność utrzymania się i przebycia tego okresu przejściowego, który potrwa niewiadomo jak długo.

LUDNOŚĆ

Maczków liczy obecnie przeszło 4,000 mieszkańców, mężczyzn, kobiet i dzieci, pochodzących głównie z Łodzi i okolicy /około 65%/, chociaż nie brak osób z Warszawy, Kielc, Radomia, a także z Wielkopolski. Ze Lwowa jest kilkanaście osób i tyleż z Kresów Wschodnich. Większość stanowią pracownicy rolni i robotnicy. Fachowców rzemieślników stosunkowo nie wiele.

Zasadniczo osiedle przeznaczone jest na pomieszczenie rodzin i kobiet niezamężnych. Jest jednak pewna ilość mężczyzn /t.zw. "mężczyzn samotnych" to jest takich, którzy są bez rodzin — chociaż niekoniecznie są kawalerami/ głównie zatrudnionych w zarządzie na stanowiskach, wymagających specjalnych kwalifikacji. Dzieci w wieku szkolnym jest przeszło 600. Znaczna część ludności to rodziny, są jednak wśród dzieci i zupełne sieroty.

Długi okres przymusowych robót w Niemczech spowodował wytworzenie się wolnych związków. Panuje wśród mieszkanców silny prąd ulegalizowania tych związków. Około 150 par czeka na załatwienie formalności i udzielenie ślubu. W najbliższym czasie ksiądz dziekan ma udzielić ślubu 75 parom. W szeregu wypadków formalności związane z udzieleniem ślubu muszą potrwać dłużej, gdyż zachodzi konieczność uzyskania dyspensy z powodu różnicy wyznania. Oprócz rzymsko- i grekokatolików są bowiem w Maczkowie także i inne wyznania, nie ma jednak Żydów.

W ciągu krótkiego czasu istnienia osiedla udzielono już 28 chrztów. Mimo tego, że ci Polacy byli przez szereg lat pozbawieni jakiejkolwiek opieki duchowej — w kościele jest zawsze dużo osób. Dziekan spowiada przeciętnie 70 osób dziennie. Przygotowuje się do komunii około 80 dzieci.

ADMINISTRACJA

Osiedle — jak każdy ośrodek dla ludności cywilnej, wywiezionej przez Niemców do Rzeszy — podlega *"Military Government"*, które sprawuje nadzór i dostarcza żywności. Udział dywizyjnego "Dowództwa Opieki nad Polakami" sprowadza się zasadniczo tylko do współpracy w zorganizowaniu życia tych wysiedlonych. Dlatego też wszystkie poczynania "Dowództwa Opieki" i jego organów, a więc delegowanych z Dywizji Pancernej oficerów i szeregowych ograniczają się do zorganizowania osiedla i przygotowania go do samodzielnego bytu. Z chwilą dopełnienia tego zadania — wszystkie obowiązki zostaną przejęte przez bądź to samych mieszkańców, bądź też przez sprowadzonych do Maczkowa byłych naszych jeńców wojennych, mających specjalne do tego kwalifikacje.

Na czele osiedla stoi w tej chwili z ramienia "Dowództwa Opieki nad Polakami", a więc Dywizji Pancernej, kapitan artylerii Marian K., jego zastępcą jest kierownik działu gospodarczego w zarządzie miejskim kapitan dypl. Paweł G., dawny oficer sztabu brygady generała Andersa, niedawno uwolniony z obozu jeńców. Tymczasowym burmistrzem jest także artylerzysta, por. Józef Z., adwokat warszawski. Od pierwszej chwili ewakuowania ludności niemieckiej przebywa na miejscu niestrudzony dziekan podhalańskiej brygady z Norwegii, ostatnio zaś artylerii dywizyjnej mjr. Antoni W., który zna osiedle na wylot, wie wszystko i o wszystkim pamięta. W administracji osiedla pracuje obecnie około dwudziestu byłych jeńców wojennych i 55 kobiet z Obozu A.K. w Oberlangen. Wszystko siły fachowe, wykwalifikowane, które prowadzą poszczególne działy życia miejskiego.

Bo celem jest nie tylko umieszczenie wysiedlonych Polaków na jakiś — krótszy lub dłuższy okres czasu — w warunkach mniej więcej dobrych, ale także zapewnienie im możliwości pracy. Plan gospodarczy miasta jest zasadniczą częścią poczynań organizacyjnych. Nie chodzi o wybudowanie samowystarczalnej osady polskiej w sercu Niemiec dla zaspokojenia jakiejś ambicji polskiej, ale o poprowadzenie tego osiedla miejskiego własnymi siłami, przy wszystkich obecnych trudnościach w otrzymaniu czegokolwiek z zewnątrz. Oczywiście osada dostaje to co najważniejsze, bo wyżywienie — z *"Military Government"*. Otrzymuje też prąd elektryczny. Ale to nie wystarcza do zapewnienia normalnych warunków istnienia 4000 ludzi, zgrupowanych w jednym miasteczku. Trzeba utworzyć, postawić i potem dopiero poprowadzić wszystkie działy pracy zarządu miejskiego.

Administracyjnie miasto dzieli się na cztery dzielnice, które z kolei obejmują grupy liczące od 70 — 120 mieszkańców, z sołtysem na czele. Komendant Policji — oficer A.K. — kieruje właściwą policją, do której dobrano z pośród zgłaszających się ochotników możliwie najlepszych kandydatów — i strażą pożarną.

DZIAŁ GOSPODARCZY

Dział gospodarczy uruchomił już szereg warsztatów. Przede wszystkim warsztat ślusarski, obejmujący około 25 ludzi, którzy podzieleni są na kilkuosobowe zespoły "pogotowia", pracujące w terenie. Ten warsztat ma już zespoły specjalistów: elektro-techników, mechaników, z zakresu kanalizacji i wykorzystuje dawne niemieckie urządzenia, niestety zniszczone i niekompletne.

Warsztat stolarski, nastawił się na produkcję najpotrzebniejszych w tej chwili przedmiotów, a więc, łóżek, krzeseł i . . . trumien. W miasteczku były już bowiem wypadki śmierci: zmarło czworo dzieci i jeden dorosły, Jugosłowianin — wszyscy z wycieńczenia i wygłodzenia w Niemczech.

Warsztaty krawieckie pracują całą parą na 32 maszynach. W tej chwili najpotrzebniejsze jest szycie ubrań i bielizny, potem jest przewidziana specjalizacja, a więc dostosowywanie mundurów, krawiectwo damskie i bieliźniarstwo.

W mieście czynne są cztery piekarnie a piąta gotowa jest do użytku. Jednakże potrzeby w tym zakresie nie są w tej chwili znaczne, gdyż *"Military Government"* dostarcza chleba już wypieczonego a nie mąki.

Pierwszą pralnię otwarto w dniu dzisiejszym, cztery dalsze uruchomione będą w najbliższych dniach. Tutaj zarząd miejski spodziewa się nie tylko pokryć zapotrzebowanie własne, ale nawet przyjmować zamówienia z zewnątrz, a więc przede wszystkim od okolicznych oddziałów wojskowych.

Dotąd nie dało się uruchomić warsztatu szewskiego z powodu braku narzędzi. W ogóle kwestia narzędzi i przyrządów jest nader trudna. Niemcy wyjeżdżając pozabierali możliwie wszystko, stąd też na każdym kroku spotyka się poważne braki.

INSTYTUCJE UŻYTECZNOŚCI PUBLICZNEJ I NAUKA

Oprócz szpitala na 75 łóżek /personal stanowią sanitariuszki z A.K. i niemieckie zakonnice — Franciszkanki/ czynna jest przychodnia lekarska, dentystyczna, i skórno-weneryczna. Czynna jest także apteka. Zakład oczyszczania miasta pod kierownictwem sierżanta M. pracuje z wielkimi trudnościami z powodu braku środków transportowych.

Nauka w szkołach rozpoczyna się 11 czerwca. Oprócz szkół dla około 600 dzieci w wieku szkolnym przewidziane są dwa przedszkola na około 70 dzieci, z czego jedno już czynne. Poza nauką szkolną organizuje się kursy dla dorosłych /dla zwalczania wtórnego analfabetyzmu/ i przy wszystkich warsztatach pracy — kursy dokształcające.

ŻYCIE KULTURALNE

Miasto ma swój dziennik wydawany na powielaczu w 400 egzemplarzach, a podający oprócz najważniejszych wiadomości ze świata — obszerny dział wiadomości miejskich. Pismo to — którego dotąd wydano cztery numery — wychodzi od jutra na czterech stronicach zamiast dwóch dotychczasowych. Zapas papieru wystarcza jednak tylko do 15 czerwca.

Głośniki zainstalowane w mieście, służą do podawania zarządzeń miejskich i najważniejszych wiadomości — przygotowuje się dwa aparaty radiowe z głośnikami na placach publicznych.

Działa już harcerstwo, przygotowuje się "Sokół". Zarząd miejski organizuje kursy ogrodnicze, pokazy prowadzenia ogrodów kwiatowych i warzywnych. W przygotowaniu wystawa wzorowego wnętrza mieszkania — rodzinnego i kawalerskiego.

* * *

Tak wyglądają suche dane o życiu tego nowego polskiego osiedla, które od nazwiska dowódcy 1 Dywizji Pancernej — generała Maczka wzięło swoją nazwę. Ale to miasteczko jest skarbnicą nauki o Polakach. O ich zapobiegliwości, zaciekłości w pracy, o darze organizacji i o wielkim, nieustającym w najgorszych chwilach, ale niesłabnącym w chwilach powodzenia zapale. Warto pojechać do Maczkowa, warto zobaczyć, jak garstka zapalonych i ofiarnych ludzi, którzy spędzili długie lata wojny to w obozach niemieckich, czy w konspiracyjnym życiu w kraju, czy na tułaczce po wielu krajach i wielu frontach — próbuje nastawić i poprowadzić życie 4000 innych Polaków, wymęczonych przez długi okres przymusowej, niewolniczej pracy na zesłaniu w Niemczech.

* * *

Osiedle cierpi na dwa wielkie braki, które odczuwa przeciętny jego mieszkaniec na każdym kroku. Braki, którymi zarząd miejski nie może — nie jest w stanie w obecnej chwili zapobiec. Nie ma żadnego przydziału papierosów dla mieszkanców Maczkowa. I nie ma żadnej możności porozumiewania się ze światem, bo poczta wojskowa nie może obsługiwać osiedla cywilnego, a poczta cywilna nie działa. Oprócz tych dwóch bolączek, jest naturalnie szereg innych braków. Ale o nich innym razem.

STEFAN KOSSAK

Poradnik żołnierski

Plut. M.S. z 1 *Dywizji Pancernej.* Dziękuję za list i zaufanie, jakim mnie Pan darzy. Cieszę się, że koledzy Pana znajdują w "Poradniku Żołnierskim" dużo odpowiedzi i wyjaśnień w związku z różnymi problemami, zmartwieniami oraz troskami.

Pyta mnie Pan, do kogo należy się zwrócić w sprawie uzyskania zezwolenia na zawarcie małżeństwa w czasie pobytu w Szpitalu. Przede wszystkim radzę zaczekać z zawarciem małżeństwa do czasu kompletnego wyleczenia. Jeżeli jednak to jest niemożliwe z powodów, o których Pan wspomina w swoim liście, to proszę niezwłocznie wnieść podanie do Dowódcy Kadry Ośrodka Zapasowego 1 Dyw. Pancernej P/63 przez Komendanta Szpitala, który wprawdzie jest Pana przełożonym, ale tylko na czas przejściowy, t.j. na okres leczenia i nie może wydać zezwolenia na zawarcie małżeństwa, choćby z tego względu, że nie posiada Pana zeszytu ewidencyjnego i w ogóle Pana nie zna.

Podstawą zezwolenia na małżeństwo jest przede wszystkim fakt, że proszący o nie jest stanu wolnego. Potrzebne dane znajdują się w ewidencji Pana. Posiada je Pana Dowódca, względnie Dowódca Kadry Ośrodka Zapasowego 1 Dywizji Pancernej, do którego można się zwracać bezpośrednio listownie. Do prośby proszę dołączyć zaświadczenie lekarza, stwierdzające stan zdrowia.

Życzę prędkiego powrotu do zdrowia.

Ppor. A.Łł Dziękuję serdecznie za miłe słowa pod adresem "Polski Walczącej". "Poradnik Żołnierski" jest rzeczywiście na razie skromny, ale nie dlatego, że jest mało kłopotów żołnierskich, lub, że ludzie nie mają zaufania. Na wiele listów odpowiadam listownie, wiele zaś przekazuję właściwym Władzom Wojskowym do załatwienia, jeżeli to tylko leży w interesie piszących. Zawsze drukuję te odpowiedzi, które mogą się przydać jako informacja ogółowi żołnierzy. Jeżeli Pan Porucznik znajduje w tym duży pożytek dla siebie i Kolegów — to cieszę się tym bardzo. Na zapytania Pana odpowiadam po kolei:

1. Żołnierzowi należy się zwrot kosztów podróży za każdą podróż służbową, która była zarządzona rozkazem, o ile rozkaz ten nie normuje sprawy inaczej. Koszty podróży wypłacane są na podstawie "rozkazu wyjazdu", na którym przełożony stwierdza konieczność odbycia podróży.

2. Nie ma w Polskich Siłach Zbrojnych specjalnego urzędu, który zajmowałby się obroną praw żołnierzy i przydzielał obrońcę sądowego z urzędu, nie mniej żołnierz ma prawo ubiegać się o obrońcę. W każdym pojedyńczym wypadki należy zwracać się o pomoc do oddziałowego Oficera Opieki, który ma instrukcje, jak należy postąpić. Zwykle przed sądami cywilnymi występuje obrońca — Brytyjczyk, umówiony przez Konsulat Generalny w Londynie, do którego zwraca się dowódca żołnierza, pociągniętego do odpowiedzialności sądowej. W uzasadnionych wypadkach, słuszne koszty obrony ponosi Biuro Opieki nad Żołnierzem.

3. Pyta Pan Porucznik, jakie należności przysługują żołnierzowi na kursach angielskich. Na to pytanie nie mogę wyczerpująco odpowiedzieć, gdyż nie wiem o jaki kurs chodzi. Prawie odnośnie każdego kursu wydawane są osobne rozkazy, które normują jakie należności przysługują żołnierzom. Ogólnie mówiąc, żołnierzowi zawsze należy się żołd, lub uposażenie; strawne i kwaterowe tylko w wypadku, gdy nie otrzymuje ich bezpłatnie w naturze, co musi być stwierdzone przez Brytyjskie Władze Wojskowe.

4. Na czwarte z kolei pytanie trudno jest mi odpowiedzieć bez bliższych danych. Zachodzi bowiem pytanie, czy omawiana kara uległa zawieszeniu, względnie odroczeniu, czy też nastąpiło przedawnienie z powodu przeoczenia i t.p. W razie przeoczenia, przedawnienie kar dyscyplinarnych: a/ porządkowych, jak nagana, meldowanie się w pełnym rynsztunku, zakaz opuszczania koszar — następuje *po 3-ch miesiącach*, b/ pozbawienie wolności /areszt/ — po 6-ciu miesiącach. W związku ze sprawą Pana, odsyłam Pana do Art. 17, Reg. Służby Wewn. cz. IV.

Co do drugiej części pytania, to wyjaśniam, że potrącanie należności za czas odbywania kary winno nastąpić w czasie odbywania kary, względnie przy najbliższej wypłacie, co może mieć miejsce przed ukończeniem odbywania kary.

I. OPŁATY POCZTOWE W WIELKIEJ BRYTANII /Z WYJĄTKIEM PŁD. IRLANDII/

1. Listy do wagi 2 ozs.	2½d.
każde dodatkowe 2 ozs.	½d.
Pocztówki	2d.
z opłaconą odpowiedzią	4d.
Druki i książki, pierwsze 2 ozs.	1d.
każde dodatkowe 2 ozs.	½d.
Maksymalna waga przesyłki 2 lbs.	
Gazety, pierwsze 4 ozs.	1½d.
Maksymalna waga gazet 2 lbs.	
Paczki do wagi 3 lbs.	7d.
Maksymalna waga paczki 15 lbs.	1/1
2. Polecenie listów, paczek	3d.
pokrywa odszkodowanie do wysokości £5.	
Skala odszkodowania od £5 do £400.	
Maksymalne odszkodowanie £400	1/11
3. Imperialne opłaty pocztowe i zagraniczne.	
Imperium Brytyjskie, Dominia, Mandaty, Brytyjskie urzędy pocztowe w Marocco, Egipt, Stany Zjedn.	
Listy zwykłe do wagi 1 oz.	**2½d.**
każda dodatkowa 1 oz.	1d.
Listy zagraniczne, do wszelkich miejscowości poza granicami Wielkiej Brytanii do wagi 1 oz.	3d.
każda dodatkowa 1 oz.	1½d.
Pocztowki do wszelkich miejscowości	2d.
4. Poczta lotnicza /Air Mail/ Imperialna.	
Opłata za każda ½ oz.	1/3
Zagraniczna, Stany Zjedn. za każdą ½ oz.	1/3
Mexico, za każdą ½ oz.	2/-
Brazil, za każdą ½ oz.	2/6
5. Airgraph Service, jedynie w obrębie Imperium Bryt.	3d.
6. Air Letter, opłata wraz z blankietem	6d.
Uwaga. Express Letter, służba pocztowa zaawieszona.	

II. SPECJALNE OPŁATY DLA SIŁ ZBROJNYCH, PRZEBYWAJĄCYCH POZA GRANICAMI WIELKIEJ BRYTANII.

Listy do wojskowych, pierwsza 1 oz.	1½d.
każda dodatkowa 1 oz	1d.
Pocztówki	1d.
Druki za 2 ozs.	½d.
Paczki do wagi 3 lbs.	9d.
maksymalna waga 22 lbs.	3/6
Forces Letter, do wszelkich miejscowości	2d.

Uwaga. Od wojskowych z frontu obecnie z Krajów Uwolnionych listy wolne od opłaty pocztowej, zielone lub niebieskie koperty /Army, R.A.F., Navy Privileged Envelopes/. Nagłówek koperty powinien posiadać napis w języku angielskim "On Active Service".

Dla wojskowych przebywających w Wielkiej Brytanii opłaty pocztowe według obrotu wewnętrznego. Tabela I.

Opłaty pocztowe: od osób wojskowych i cywilnych z W. Brytanii do wojskowych przebywajaących poza granicami W.B. na przykład M.E., C.M.F., B.L.A., w Iranie i t.d. według Tabeli II.

Od osób wojskowych z Wielkiej Brytanii do osób cywilnych przebywających poza granicami W.B. wedle paragrafu 3, 4, 5, 6 tabeli I. /normy cywilne/.

TOWARZYSZ BRONI

Lotnictwo polskie między wojnami

Po wojnie 1920 roku — skadrowano lotnictwo polskie w sześć pułków. Miejscem postoju 1-go pułku lotniczego była Warszawa, a 6-go — Lwów.

W spokojnych latach między obu wojnami, lotnictwo polskie przygotowywało sprzęt i ludzi. Okres ten wykazał, że mieliśmy już wtedy niebylejakich lotników. Dokazywali oni cudów na sprzęcie, który z konieczności musiał ustępować sprzętowi krajów bogatszych.

W tym okresie — pierwszy rozsławił imię Polski, ówczesny porucznik Bolesław Orliński. Odbył on rekordowy lot z Warszawy do Tokio i z powrotem, lecąc w drodze powrotnej z odartym płatem dolnego skrzydła i śmigłem, obwiązanym drutem.

W roku 1929 następuje polska próba przelotu Atlantyku. Próba ta kończy się tragicznie. Pilot, major Ludwik Idzikowski, ginie przy przymusowym lądowaniu na wyspie Gracjoza, na Azorach.

Po dalszych czterech latach — polski samolot przelatuje Atlantyk. Jest to samolot polskiej produkcji RWD5, pilotowany przez Stanisława Skarżyńskiego. Przebywa 3670 kilometrów ze St. Louis do Maceio w ciągu 20 godzin i 15 minut, przy średniej szybkości 180 kilometrów na godzinę. Skarżyński był pierwszym lotnikiem, który na sportowej maszynie, zdołał przebyć Atlantyk ze wschodu na zachód. Swoim wyczynem ustanowił on nowy rekord długości w linii prostej bez lądowania, który to rekord należał dotychczas do Francuzów.

Potem przychodzą dwa po sobie następujące zwycięstwa w zawodach "challenge", w których, na przestrzeni 7500 kilometrów, można powiedzieć dookoła Europy — rozgrywał się turniej sześciodniowy najlepszych sportowych samolotów świata.

W "challenge" 1932 roku pierwsze miejsce zdobył Polak — Żwirko, na maszynie produkcji polskiej RWD6. Meta turniejowa znajdowała się na lotnisku niemieckim Tempelhoff pod Berlinem. Jak wiecie, lotnisko to obecnie przestało istnieć. Wówczas, w chwili wielkiego polskiego triumfu — na maszcie przed lożą Prezydenta Rzeszy wpłynęła w górę chorągiew Rzeczypospolitej, a niemiecka orkiestra wojskowa musiała odegrać hymn narodowy: "Jeszcze Polska nie zginęła".

W dwa lata później "challenge" organizowany przez Polskę — przyniósł również zwycięstwo polskim skrzydłom lotniczym. W roku 1934, przy trasie turnieju zwiększonej do 10 tysięcy kilometrów, zwycięzcą na mecie, na lotnisku warszawskim zostaje — Jerzy Bajan. Na drugim miejscu usadawia się również Polak, pilot Stanisław Płonczyński. Zwycięzca drugiego polskiego "challenge" przebywa w chwili obecnej w szeregach lotnictwa polskiego w Wielkiej Brytanii.

Jeżeli w dwu kolejno po sobie następujących wielkich zawodach lotniczych, w obliczu całej Europy, współzawodnicząc z najlepszymi pilotami innych narodów, zajęliśmy pierwsze miejsca to z tego widać, że w narodzie naszym drzemie nieporównany talent lotniczy.

I tak napewno było. Jako Kraj na dorobku — robiliśmy w zakresie lotnictwa to, na co nas było stać. Nasi rywale mieli lepsze samoloty, dłuższe i dokładniejsze możliwości szkolenia. Może nawet i gruntowniejsze poparcie moralne wśród swoich sytych i normalnie od stuleci rozrastających się społeczeństw. My zaś na maszynach, które przejdą do historii narodu polskiego, na RWD /popularnie zwanych "erwudziakami"/ dokazywaliśmy cudów — dzięki ludziom.

Istotnie, cudownymi chłopcami byli nasi lotnicy. I to zarówno wtedy, gdy Beaurain, Toruń i Bastyr zdobywali pod Lwowem pierwsze polskie lotnisko, jak i wówczas, kiedy w obliczu całej Europy, byliśmy dwakroć pierwsi na międzynarodowym turnieju lotniczym.

Dwukrotnie wymieniony przez nas inż. de Beaurain, jest generałem lotnictwa i przebywa w Szkocji, w Edinburghu, nadal pracując w dziedzinie lotnictwa.

Czasy wielkiej próby wojennej, jak o tym przekonacie się z następnych omówień, dadzą niezliczone dowody, że ziarno, zasiane w latach między wojnami — wyrosło bujnym plonem w światowej burzy dziejowej.

Bielsko-Biała

Wśród uwolnionych z kaźni hitlerowskiej rzesz polskich w Dachau, znalazł się pisarz młodszego pokolenia, Gustaw Morcinek. Interesujące powieści i opowiadania Morcinka, oraz prowadzona przezeń praca nauczycielska w Skoczowie — związały go mocnymi węzłami z tą częścią Księstwa Cieszyńskiego, która od powstania niepodległej Polski w roku 1918 aż do wybuchu wojny była nieprzerwanie jej częścią.

Jak sobie przypominacie z artykułu "Cieszyn i Ziemia Cieszyńska" — większość zamieszkałych przez ludność polską powiatów, wróciła do Ojczyzny dopiero na rok przed wybuchem wojny. Przedtem, w granicach Państwa Polskiego, mieliśmy mniejszą część dawniejszego Księstwa Cieszyńskiego, połowę miasta Cieszyna, powiat cieszyński, miasto i powiat Bielsko. Od rzeki Białej po Olzę.

Rzeka Biała rozgranicza w tym miejscu województwo Krakowskie od Śląskiego. Po obu stronach rzeki powstały dwa, stosunkowo spore miasta: Bielsko, które liczyło 22300 mieszkańców, i Biała Krakowska, o 22700 mieszkańcach.

Jest to w Polsce jeden z najbardziej zagęszczonych rejonów miejskich, silnie uprzemysłowiony. Fabryki były tu budowane na początku 19-go wieku. Temu przypisać należy fakt, iż pierwsze obchody święta robotniczego 1 Maja, odbyły się w roku 1890 po raz pierwszy w trzech miastach Polski: w Warszawie, Lwowie oraz . . . Białej Krakowskiej.

Bielski okręg przemysłowy słynął z wyrobów włókienniczych. Jakość towarów, wyrabianych w tutejszych tkalniach miała dość powszechne uznanie. Materiały bielskie zestawiano z brytyjskimi.

O zasobności Bielska świadczyło istnienie linii tramwajowej, co stanowiło rzecz wyjątkową wśród miast prowincjonalnych Polski, o takiej, jak Bielsko, ludności.

Miasto niewątpliwie polskie, i jako miejscowość, znana z nazwy w minionych stuleciach. Przed wybuchem wojny liczyło stosunkowo sporo ludności niemieckiej. Ale jesteśmy tego pewni, ludność Bielska, i nie tylko Bielska, mówiąca po niemiecku należy dzisiaj w Polsce do zamierzchłej historii.

Napór niemczyzny musiał tutaj być zdawna silny. Przykładem jest rodzina Sułkowskich, dawnych właścicieli Bielska, która przez szereg pokoleń poczuwała się do narodowości niemieckiej. Lud pozostał, jak wszędzie, polski, i — w swej polskości wytrwał.

Okolice Bielska są górzyste, a wśród tych gór błąka się wiele podań, odzwierciadlających minione czasy. Między podaniami poczesne miejsce zajmują opowieści o Klimszoku, romantycznym awanturniku górskim z Beskidów.

Niedaleko są źródła Wisły, naszej świętej rzeki, która wpływa z pod Babiej Góry. Dwa rześkie strumienie, Wisełka Czarna i Wisełka Biała uciekają z pod kamieni i jodeł w świat, ażeby połączyć się w Wisłę, i płynąć, płynąć coraz szerzej. Przewija się ona u podnóży licznych miast, strzegących naszej historii.

Wreszcie, po przebyciu pięciuset kilometrowego biegu przez środek ziem polskich, na północy Kraju, opodal starego Gdańska, stapia się z falami Bałtyku.

"My English Secretary"

Ukazało się drugie wydanie "Mego sekretarza", staraniem firmy wydawniczej Caldra House w Duns, Berwickshire. Chciałbym zwrócić Waszą uwagę na to wydawnictwo, albowiem "Mój sekretarz" dla Was, którzy jesteście w Szkocji stosunkowo od niedawna, może okazać się bardzo pomocny w prowadzeniu rozmów z miejscową ludnością.

W przedmowie do drugiego wydania, czytamy: "Mój sekretarz" pragnie jedynie ułatwić i umożliwić prowadzenie zwykłych rozmów po angielsku tym Rodakom, którzy, choć nabyli już nieco znajomości języka angielskiego, mają jednak więcej trudności w budowaniu zdań".

"Mój sekretarz", może się okazać, i napewno się okaże, szczególnie użyteczny w Waszych próbach porozumiewania się z miejscową ludnością.

Ale — warunek wstępny. Musicie przed korzystaniem z niego nauczyć się sposobu wymawiania słów angielskich, jak również przyswoić sobie pewien zakres słów, najbardziej potrzebnych do rozmowy.

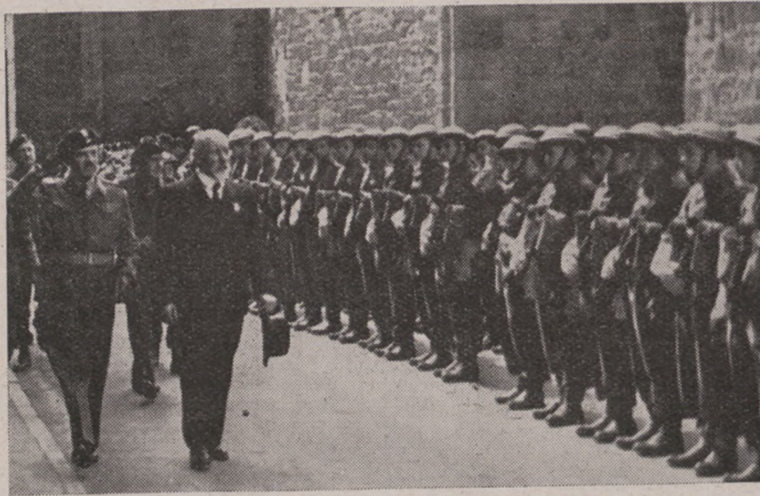
Wynika z tego prosty wniosek. Byście mogli z korzyścią posługiwać się "Moim sekretarzem", nie możecie zaniedbywać się na lekcjach języka angielskiego, które są prowadzone w ramach Waszego oddziału.

W jednym z poprzednich "Towaszyszy Broni" wyłożyliśmy przed Wami konieczność uczenia się języka angielskiego. Jeśli przyjęliście jak należy naszą życzliwą radę, to — niewątpliwie weźmiecie obecnie do ręki "Mego sekretarza", i rozpoczniecie łatwo rozmowy ze Szkotami, a może, co bardziej pewnie interesujące, ze Szkotkami.

Gdyby się tak stało, iż zapomnieliście o naszej poprzedniej radzie, musicie obecnie, wziąć ją jeszcze raz głęboko do serca. A przekonacie się, iż po pewnym czasie będziecie całkiem swobodnie rozmawiać. Duże przy tym usługi odda Wam właśnie kieszonkowego formatu "Mój sekretarz" — *"My English Secretary"*.

Z miejsc postoju

Przez trzy dni gościliśmy w szeregach żołnierskich Premiera p. Tomasza Arciszewskiego, który od czasu przybycia z Kraju i stanięcia na czele Rządu, po raz pierwszy odwiedził obozy wojska polskiego w Szkocji.



Premier Rządu R.P. przed frontem żołnierzy.

Premier Arciszewski przybył dnia 7 czerwca 1945 roku do Perth, skąd udał się na objazd licznych miejsc postoju. Po trzydniowej i pracowitej wizycie— Premier opuścił Szkocję wieczorem dnia 9 bm. udając się z Edinburgha, z powrotem do swoich prac w Londynie.

Gościowi towarzyszył przez cały czas podróży Dowódca Jednostek Wojska w Wielniej Brytanii, gen. Janusz Głuchowski. Podczas wizyty na terenie 4. Dywizji Piechoty—byli również obecni: gen. Stanisław Maczek—dowódca I Korpusu, oraz płk. dypl. G.—dowódca 4. Dywizji Piechoty.

Trasa odwiedzin rozpoczęła się od 7 kompanii warsztatowej rano dnia 7 czerwca rb.

Następnie, kolejno po sobie, Premier odwiedził 1 i 2 baon grenadierów. W 2 baonie grenadierów wręczono Premierowi odznakę pamiątkową baonu: metalową cyfrę 2 na tartanie *Royal Stewart.* W miejscu, postoju 2 baonu grenadierów, Premier zetknął się z przedstawicielami ludności szkockiej, którym podziękował za uczucia przyjaźni i opieki.

Obiad żołnierski pierwszego dnia wizyty wypadł w 4 baonie łączności. Zakończenie dnia stanowiły odwiedziny Ośrodka Segregacji Lekarskiej.

W drugim dniu swego pobytu w Szkocji Premier był gościem 9 Pułku Ułanów Małopolskich, oraz 14 Pułku Artylerii Lekkiej. Obiad tego dnia odbył się w murach Wyższej Szkoły Wojennej, wśród kadry i słuchaczy V Kursu.

Na zakończenie drugiego dnia pobytu Premier odwiedził Ośrodki Ćwiczebne Ozdrowieńców, a następnie był podejmowany przez Dowódcę Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii w kasynie Dowództwa.

Trzeci dzień pobytu w wojsku w Szkocji, rozpoczął Premier Arciszewski od odwiedzin warsztatów plutonu zaopatrzenia Kompanii Opieki nad żołnierzem DJWWB.

Z kolei odwiedził kurs szturmowy Szkoły Podchorążych Piechoty i Kawalerii Zmotoryzowanej, gdzie był na obiedzie żołnierskim, a następnie uczestniczył w pokazach i ćwiczeniach Ośrodka Wychowania Fizycznego, prowadzonego w ramach Centrum Wyszkolenia Piechoty.

Zwiedziwszy wzorowy Dom Ozdrowieńców, prowadzony przez Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej, był Premier Arciszewski gościem obozu Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet, gdzie spędził dłuższe chwile na podwieczorku, prowadząc rozmowy z ochotniczkami i wizytując prowadzony w obozie kurs kantyniarek. Przed samym odjazdem ze Szkocji odwiedził Premier jeszcze Szpital Im. Paderewskiego w Edinburghu.

W czasie tych trzech wypełnionych po brzegi dni, Szef Rządu Polskiego odbył wiele rozmów z żołnierzami, żywo interesując się ich wyszkoleniem, zakwaterowaniem, wypytując ich o przeżycia i osobiste zainteresowania.



Premier w towarzystwie gen. Głuchowskiego odbiera defiladę

W kilkunastu miejscach postoju, o które Premier Arciszewski zawadził, wszędzie niestrudzenie przemawiał do żołnierzy, mówiąc im o Kraju i bieżącej sytuacji Polski, uwypuklając nakazy, jakie w chwili obecnej stoją przed nami: musimy — mówił — wytrwać i przetrwać, ażeby móc powrócić do Polski wolnej, niepodległej, niepodzielnej, demokratycznej, szczęśliwej dobrej Matki dla nas wszystkich.

Dla żołnierzy — bytność Premiera Arciszewskiego była głębokim, pełnym wzruszenia przeżyciem. Patrzyli oni na postać długoletniego bojownika o wolność i niepodległość Polski, jak na stronę z księgi nauki o Polsce współczesnej. I dawali temu wyraz w rozmowach, w spontanicznym śpiewaniu pieśni, w gromkim podchwytywaniu kierowanych przez Premiera okrzyków na cześć Polski, wolnej, niepodległej, niepodzielnej, demokratycznej.

Jest zrozumiałe, iż znajdując się wśród nas, szczególnie gorąco Premier interesował się tymi wszystkimi, którzy przeszli przez Armię Krajową, którzy przetrwali najstraszliwsze obozy kaźni, jak Oświęcim, Dachau czy Buchenwald. Było to zainteresowanie jednego z przywódców Polski Podziemnej sprawami tych, którzy ucierpieli najbardziej.

Lecz zwracał się Premier do wszystkich, stanowiących dziś wojsko polskie w Szkocji. Albowiem tworzymy całość. I ci, co są tu od lata 1940 roku, i ci, którzy przeszli niewolę rosyjską, i ochotnicy z Francji czy Belgii, i byli jeńcy z niemieckich obozów, i ci, wreszcie, których wróg zmuszał do noszenia znienawidzonego munduru.

W oddziałach, które nie otrzymują dostatecznej ilości egzemplarzy "Polski Walczącej", należy odciąć tę kartę i umieścić na ścianie w widocznym miejscu. "Towarzysz Broni" winien docierać do wszystkich.

NA FUNDUSZ GEN. BÓR-KOMOROWSKIEGO

To the Consul for Poland,
Mr. E. Rogers,
Port Louis.

Dear Sir,

We have the honour to forward to you the amount of Rs. 202 /Two Hundred and two Rupees/ subscribed by the members of the Polish Group, during the month of February, 1945. Occasional the anniversary of the resurrection on the 26th January, 1863, we prepared a campaign for the benefit of the Polish Prisoners of War. Unfortunately it took a long time to collect this amount.

We should be much obliged if you would kindly wire this amount to the Consul General Dr. Poznański, using, among others. the following wording:—

"From the Polish-Jewish refugees detained in Mauritius for the General Bór-Komorowski Fund.

Polish Committee
Josef Deutsch".

We remain, Dear Sir,
Yours respectfully,
Committee of Polish Citizens,
J. Deutsch

* * *

W czasie przerwy audycji muzycznej prof. S. Niekraszowej p.t. "Chopin i wpływ muzyki Chopina na kulturę muz. cywilizowanego świata", żołnierze inwalidzi Domu Wypoczynkowego Min. O.Sp. w Gullen zebrali sh. 12 /dwanaście szylingów/, z przeznaczeniem na Fundusz Gen. Bór-Komorowskiego.

Świetliczarka Jaworowska

DO ŻOŁNIERZY A.K.

Znalazłszy się na terenie W. Brytanii, musimy jak najprędzej nawiązać łączność pomiędzy sobą. Pierwszym krokiem ku temu jest zebranie i nazwisk i adresów kolegów A.K., przebywających na terenie Szkocji. Następnym będzie zwołanie zjazdu koleżeńskiego. Ppor. Orłowski Jerzy jest już w posiadaniu licznych nazwisk i adresów. Zwracamy się do kolegów A.K. o nadsyłanie zgłoszeń listownie pod adresm: Ppor. Orłowski Jerzy, 20, Murrayfield Avenue, Edinburgh 12. Zgłoszenie winno zawierać: stopień, nazwisko i imię, pseudonim — przydział A.K., datę przybycia do W. Brytanii i obecny adres.

Na Polaków uwolnionych z Niemiec: £664

Konsulat R.P. w Glasgow przesyła £5 oraz listę dobrowolnych składek działu krawieckiego przy Ośrodku Szkolenia i Pracy P.I.W. w Glasgow, na biedne dzieci polskie.

W. Kolankowski

* * *

LISTA
dobrowolnych składek działu krawieckiego przy Ośrodku Szkolenia i Pracy P.I.W. w Glasgow, na biedne dzieci

1.	Kornfeld Eber	12/6
2.	Kozlowski Edward	10/0
3.	Staniszewski Jan	8/0
4.	Zaborowski Antoni	6/0
5.	Gryniewicz Stanisław	5/6
6.	Lewicki Piotr	3/0
7.	Kubiński Józef	10/0
8.	Brodziński Zbigniew	12/0
9.	Wojakowski Józef	3/0
10.	Chilczyszyn Trofim	4/0
11.	Majkowski Franciszek	7/0
12.	Kukul Stanisław	6/0
13.	Swirz Michał	2/0
14.	Lewkowicz Stanisław	2/0
15.	Rozner Paweł	8/0
16.	Sopiak Kard	1/0
	Razem	£5.0.0

* * *

W związku z informacją o inicjatywie Ośrodka Polskiego w Peebles, aby tamtejszemu kościołowi ofiarować obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, podajemy właściwe brzmienie autora tego obrazu: p. Kazimierz Kryska. Część honorarium za wykonanie tego obrazu w wysokości £15 zostanie przekazana na Polaków w Niemczech. Niezależnie od tego p. Kryska przesłał na nasze ręce dodatkowo £2 /dwa funty/ na polskie dzieci w Niemczech.

Kwotę £15 /słownie: funtów piętnaście/, uzyskaną z zabawy, urządzonej przez Czołówkę Napraw C.W. Piech., proszę przekazać na najbiedniejsze dzieci polskie.

H.B. ppor.

* * *

W załączeniu przesyłam Postal Order na sumę £4 /słownie: cztery funty/. Sumę tą składają harcerze Kręgu im. Gen. Wł. Sikorskiego, przy 1 Komp. Szkolnej Telefonicznej — 12 Baonu Łączności, dla Polaków w Niemczech. Tą skromną sumą pragniemy utworzyć t.z. Fundusz Harcerski dla Polaków w Niemczech. Z tego powodu prosimy, aby inne Kręgi i Drużyny przyczyniły się do powiększenia tego Funduszu. Nasz Krąg nie poprzestaje na tej skromnej sumie i będzie zbierał dalej grosz do grosza, aby móc znowu za pewien czas nadesłać dalszą kwotą na ten cel.

Czuwaj

M. T. Kwaterski /skarbnik/

* * *

Na pomoc dla Polaków w Niemczech przesyłam Money Order na £7

Ośrodek Rodziny Wojskowej Falkirk

* * *

Zamiast prezentu imieninowego dla Pani Julii Skarżyńskiej załączam £5 /pięć funtów/ na Fundusz Pomocy Polakom w Niemczech.

M.B., Mjr.-pil.

* * *

Przesyłam na uwolnionych Polaków £2 /dwa funty/, ofiarowane przez Miss Hamilton Lomond Dumblanc.

Oficer Opieki, W. por.

Please find enclosed £23 from Scottish-Polish Society, Pittenweem, raised at a dance on Thursday, 7th June. The money is to help Polish Prisoners in Europe.

I wish to add that, of this money, £18 was raised by the dance, and I have added £5 from Polish Canteen run in Pittenweem.

/—/ Georgines Hughes
Convenor of Scottish-Polish Society of Pittenweem

* * *

Niniejszym załączamy czek no. 05985 na sumę £5 z prośbą o przekazanie powyższej sumy na pomoc dla Polaków uwolnionych z Niemiec.

Z. Niklewska

* * *

Przesyłam Money Order na sumę £6.1.0 /sześć funtów, jeden szyling/ na Polaków uwolnionych z obozów niemieckich. Suma ta została zebrana przez eskadrę C.1, E.F.T.S. Hucknall.

L.K.

* * *

Na Polaków w Niemczech £5 przeznacza

T. Maciejewski

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £79.1.0 /słownie: siedemdziesiąt dziewięć funtów i jeden szyling/ przekazyliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £644.3.1 /słownie: sześćset czterdzieści cztery funty, trzy szylingi i półtora pensa/.

Doktora MICHAŁKIEWICZA EDWARDA, lekarza ginekologa prosi o pomoc w wyjeździe do niego na stałe, a na razie o paczkę żywnościową oraz o adres matki Ernesta: inż. MICHAŁ TYSZOWNICKI, Plochingen, koło Stuttgartu /Wuertembergia/, ul. Hindenburga 15.

Wiadomość: F. Świtalski, 12, Emperor's Gate, London, S.W.7.

Ś † P
JÓZEF DAWID
st. strz.
ur. dnia 27 marca 1922 r. zmarł śmiercią żołnierza w dniu 24 maja 1945 r.,
o czym zawiadamiają
KOLEDZY

NA P.C.K.

Niniejszym przesyłam w załączeniu "Money Order" £10 /dziesięć/ funtów/ jako dochód z imprezy D.Z.M. z prośbą o przekazanie na Polski Czerwony Krzyż.

Oficer Opieki n/Żołnierzem W.Ż.

POSZUKIWANIA

Uchodźcy polscy w Haldern /adres: Haldern D.P. Camp No. 414 — Germany/ poszukują swoich:

7. Józefa Zeglińska z córką Wandą z Warszawy, róg Nabielska i Podchorążych poszukuje syna: Jerzy Zegliński, z którym rozstała się podczas walk w Warszawie.

MIECZYSŁAW LUBELSKI, Polish Military Camp Northeim /Hànover/, Germany, poszukuje córki Urszuli Podlewskiej i syna Jana.

Osoby posiadające wiadomości o miejscu pobytu lub losie Władysława KUBISZA, b. referenta prasowego Sląskiego Urzędu Wojewódzkiego, proszone są o zakomunikowanie ich Kołu Ślązaków Cieszyńskich, 91, Queen's Court, Queensway, London, W.2.

PIĘCIOLECIE CHÓRU WP.

W związku z koncertem Chóru W.P. w Glasgowie w dniu 1 lipca b.r. z okazji 5-ej rocznicy jego działalności na terenie W. Brytanii, Kierownik Min. Obr. Nar. gen. dyw. Kukiel zezwolił na zwolnienie wszystkich byłych i obecnych członków Chóru w celu wzięcia udziału w uroczystościach.

Wszyscy członkowie Chóru W.P., którzy dotychczas nie podali swoich adresów, proszeni są o jaknajszybsze zgłoszenie ich pod adresem, Sekretariat Chóru Wojska Polskiego, "High House", 59, Brook Green, London, W.6. w celu doręczenia im szczegółowego programu.

Komitet Pomocy Jeńcom Wojennym Broni Pancernej przekazał w dniu 1.VI.1945 r. Komitetowi Pomocy Wojska dla Polaków w Niemczech kwotę £450 na cel pomocy Polakom w Niemczech.

Zgubiono paszport Nr. 50131/729a/brab./I/40, na nazwisko Ludwiki Brabander, wystawiony w Mediolanie.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY POKÓJ POTRWA TRZY TYSIĄCE LAT . . .

HITLER W 49 ROKU ŻYCIA OTRZYMAŁ PIERWSZĄ PYJAMĘ OD ŻONY



—Powiedz duszko, czy mam się pokazać narodowi w pyjamie czy też bez . . .

PRZESZLI SZKOTÓW

—Którzy żołnierze polscy w Szkocji są najbardziej oszczędni?

—Ci w Aberdeen! Ażeby nie niszczyć butów na chodzenie po kinach, siedzą w p a c e.

W CZASIE WIZYTY PREMIERA ARCISZEWSKIEGO W SZKOCJI

W czasie przeglądu oddziałów Premier Arciszewski zapytuje młodego żołnierza:

—Ile masz lat chłopcze?

—Melduję, że dwadzieścia!

W tym momencie gen. Głuchowski dorzuca:

—Mów prawdę, nie masz więcej, jak siedemnaście lat!

—To niech już będzie, panie generale — osiemnaście . . .

W GOŚCINIE W PEWNEJ DYWIZJI

Westchnienie żołnierza — artysty "Czołówki Teatralnej":

—Ażeby mieć w wojsku prześcieradło i poduszkę. Trzeba stracić albo rękę albo nogę . . . i leżeć w szpitalu.

WYJAŚNIŁ

—Czym tłumaczyć brak papierosów w Anglii?

—Ludzie są zdenerwowani p r z y s z ł y m p o k o j e m, więc więcej palą . . .

JEDYNA ODPOWIEDŹ SZKOTKOM



—Więc kiedy wracasz do Polski?

—Jeszcze nie wiem. Mam duże trudności . . .

—Jakie?

—Nie mogę dostać sleepingu! . . .

PRZESTROGA LONDYŃCZYKA

—Co, to pan się żeni? Niech pan tego nie robi. Nawet Hitler wykończył się po zaślubieniu pani Braun . . .

ROZMOWA POLAKÓW W LONDYNIE

—Pan był na Derbach?

—Nie mam pieniędzy! . . . Od trzech lat z e s z e d ł e m n a p s y . . .

POCZUCIE HUMORU

W polskiej restauracji w Londynie, usługuje Angielka. Opanowała już kilkanaście słów polskich. W pewnej chwili jeden z gości mówi:

—To jest granda!

—A co to znaczy "granda"? — pyta Angielka.

Polak tłumaczy:

—To jest — "*bad affair*"!

—Rozumiem — to coś podobnego do San Francisco! . . .

W PEWNYM BIURZE

—Pan jest za nerwowy! My musimy się rozejść!

—To pan dyrektor odchodzi? . . .

W LONDYNIE



—Po co się rozbiera te schrony, to Bóg raczy wiedzieć! . . .

—Cegła jest potrzebna na przyszłe obronne . . .

W SZPITALU WOJENNYM



Służbista szef: — kto jeszcze nie brał żołdu, niech się zgłosi biegiem w kancelarii . . .

GDZIEŚ W LONDYNIE

—A niech ten Londyn diabli wezmą — mówi jeden oficer ze Szkocji. — Przyjechałem służbowo na jeden dzień i musiałem się zatrzymać cały tydzień.

—Dlaczego?

—Wchodzę do polskiej restauracji i czytam menu:

Sznycel cielęcy po wiedeńsku	4/6
Jajka sadzone z jarzynką	4/-
Jajecznica ze szczypiorkiem	4/-
Szaszłyk barani	4/-
Bitki z cebulą	4/-
Zrazy zawijane po śląsku	3/6
Befsztyk z cebulą	3/6
Czór wołowy	3/6

i t.d. i t.d.

No niech pan powie, czy w jednym dniu jest pan wstanie zjeść tyle potraw? . . .

Tekst i rysunki: TONY

SPIS RZECZY:

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wielkiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.